

TOMASZ ŁUBIEŃSKI
1939
ZACZEŁO SIĘ WE WRZEŚNIU

1. Czy wrzesień 1939 roku pamiętnego będzie raz jeszcze, na swoją siedemdziesiątą rocznicę tematem jakiejś istotnej a przynajmniej ciekawej dyskusji, którą podniosł nazwiemy publiczną debatą? Dziś, kiedy odchodzą, zwłaszcza zimą, wśród gwałtownych skoków ciśnienia, odwilży i zamieci, przekraczając z trudem dziewięćdziesiątkę ostatni żołnierze wrześniowej kampanii. Których (czy tylko dlatego, że jest ich już tak niewiele?) pamięta się niewyraźnie. O wiele słabiej niż powstańców warszawskich. Tu pamięci przychodzą z pomocą fotografie, kroniki filmowe. A na nich młodzi chłopcy w zdobycznych panterkach i hełmach, z literami AK na biało-czerwonych opaskach. Obok sanitariuszki, torba przez ramię i lok spod furazerki. Weterani 1863 mieli przed wojną swoje roczne styczniowe święta, defilady z medalami, zbiorowe fotografie. Co więcej, skomponowano i uszyto im okolicznościowe mundury. Według ubiorów którejs z partii powstańczych, co za wszelką cenę (bo to tęsknota każdej partyzantki) chciała wyglądać jak regularne wojsko. Co do przedwojennych polskich mundurów ujednoczonych dla każdej broni, a więc piechoty z numerem pułkowym, kawalerii (kolorowe proporczyki furkoczące pod melodie żurawiejek), strojnej brygady podhalańskiej w pelerynach i kapeluszach z piórkiem, saperów w butach z wysokimi cholewami, marynarki wojennej, artylerii i lotnictwa, to można je oglądać nie tylko w muzeach, również w niejednej szafie, gdzie na pewno przeżyją swoich właścicieli. Nie byłoby więc problemów z rekonstrukcją. Ale weteranów przegranej kampanii 1939 roku nie pamięta się tak, jak przed wojną pamiętało się o weteranach roku 1863, chociaż od jednej i drugiej klęski do kolejnej niepodległości odległość jest podobna: kilkadziesiąt trudnych lat. To prawda, podczas kampanii wrześniowej niewiele zostało z tej elegancji, która czyniła z żołnierza, zwłaszcza z oficera, szczególnie kawalerzysty, przedmiot miłości panien i mężatek w każdym domu i w każdej chatce bez wyjątku, o czym mówi piosenka. Opowiadał mi obywatel miasta Kazimierza nad Wisłą, że kiedy podpity ułan o północy włókł za sobą szablę po bruku, starając się szerokim lukiem ominąć studnię na rynku, w okolicznych kamienicach budziły się młode Żydówki i już długo nie mogły zasnąć. Wrześniowe wojsko nie było już malownicze: ta szara od nocnego marszu, umęczona kurzem i słońcem, ciągle w odwrocie, czasem w rozpaczliwym kontrataku piechota i konie rozbiegające się na wszystkie strony świata pod bombami. Żołnierze pomieszani z cywilami, oddział, tłum, ludzie, zwierzęta, i jak tu wymagać od młodych lotników z rasy panów, żeby atakując taką zatłoczoną szosę troszczyli się o precyzję. Zresztą o każdej porze i każdego roku ubywa nie tylko weteranów, również świadków wrześniowej katastrofy, podówczas dzieci. Więc coraz trudniej, a zarazem coraz łatwiej, to znaczy dowolniej będzie się tamtą datę pamiętało. Oczywiście nigdy nie zabraknie oficjalnych uroczystości, czy ewentualnie sporów w ocenach ludzi i zdarzeń, bo z tego żyją uczeni, specjaliści i publicyści. Od wojen, dyplomacji i alternatywnego spekulowania. Ale referatowe pokłosia konferencji na rocznice ukazują się zwykle z szacownym opóźnieniem. Z kolei medialne spory o dzieje najnowsze giną w bieżącym słowno-muzycznym szumie. A przecież bywa, że całkiem niedawna przeszłość odnosi się do dnia dzisiejszego. Jako źródło, komentarz, analogia, która daje do myślenia, dotyczy nas, dotyka. Dotyka bezpośrednio, fizycznie: może warto zdać sobie sprawę, że gdyby nie to, co wydarzyło się 1 września 1939 roku i w dniach następnych, życie naszego pokolenia, a także pokoleń obok, czyli po sąsiedzku poprzednich i następnych, wyglądałoby inaczej. To oczywiście, mówiąc emfaticznie - życie narodu, Europy, znacznej części ludzkości, która doświadczyła II Wojny Światowej. Mówiąc prywatnie - każdego z nas. W tym moje własne. Inaczej by wyglądało? Jak mianowicie? Tego nie potrafię i nawet nie chcę sobie, bo po co, wyobrazić. Ale czuję, oglądając się

wstecz, że również nade mną, jeszcze niczego wówczas nieświadomym, przesunął się cień historii. Zdarzyło się nawet, że obchody o kilka lat zaledwie młodszej rocznicy Powstania Warszawskiego odegrały bieżącą polityczną rolę. Powstania, które łączy się z wrześniową katastrofą, dlatego mówię o nim, bo miało być rewanżem, odwetem oczekiwanym przez całą okupację. A tymczasem okazało się tragicznym powtórzeniem, mimo wszelkiej różnicy technicznej i psychologicznej, jaka istnieje między regularną wojną i powstaniem. Powtórką przegranej z tym samym potężnym przeciwnikiem. Walką podjętą bez szansy zwycięstwa, w które za wszelką cenę umówiono się uwierzyć. W daremnym, raz jeszcze, oczekiwaniu pomocy i odsieczy. A potem pytania, pytania, nocne rodaków nie tylko rozmowy. Również intrygi, porachunki. Nie brak ich po zwycięstwie, więc tym bardziej towarzyszą klęsce. Bo wprawdzie zwycięzców na ogół się nie sądzi, ale przegranych jak najbardziej. Wokół pamięci Września i Powstania (będę się odtąd posługiwał taką niepoprawną ortograficznie dużą literą) toczono latami walkę o rząd dusz zamiast walki o władzę, która to walka została rozstrzygnięta, póki obowiązywało gwarantowane geopolitycznie hasło powtarzane przez Władysława Gomułkę, a także jego następców: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. Zrozumiałe, że nie wspomniał Gomułka, może nawet nie pomyślał, z czyją - no bo z obcą pomocą i przemocą zdobytej. Ale też nie musiał się tym dręczyć, bo wszelka władza w niejasnych przypadkach powołuje się na wyższą sprawiedliwość dziejową, na straży której czuje się przez historię stawiana mocą faktów dokonanych. I tu dodajmy Gomułce do towarzystwa, tak trochę na złość, czołowego sanacyjnego pułkownika Bogusława Miedzińskiego, przedwojennego marszałka Senatu, który z otwartością godną towarzysza Wiesława oświadczał: „Jesteśmy skazani na dożywotnie rządy”. Wielce to podobny sposób myślenia: zdradza prędzej czy później groźną dla każdej władzy, doraźnie wygodną arogancję. Poczucie, że jest się jakoś tak misyjnie, a jak trzeba to dla dobra sprawy siłowo, nie do zastąpienia. Tak cynicznie? Jeszcze gorzej. Bo z pełnym przekonaniem. „Nasz wiek jest wiekiem propagandy, a nie demokracji”, pisał mądry Józef Rettinger w „Wiadomościach Literackich”. Nasz XXI wiek również. Rządzący Polską niepodzielnie, zazdrośnie przed 1939 rokiem, przegrali wrześniową próbę i zapewne nie można było jej wygrać, tylko że oni uczynili to w złym stylu. To znaczy zbyt wielu z nich nie zdało egzaminu w sprawie smaku. O potędze smaku pisał Herbert. W tym wypadku dowodem smaku byłaby skrucha, przyznanie się do błędów i zaniedbań, których przyczyną była właśnie arogancja, siostra ignorancji. Przyznanie się choćby po latach. Niestety, jaki polityk czy wojskowy dobrowolnie przyzna się do odpowiedzialności za przegraną? Zresztą nie musi. Zrobią to za niego rywale i przeciwnicy polityczni. A także wrogowie. Klęska wrześniowa dostarczyła satysfakcji wrogom Polski, których nigdy nie brakowało, bo jest to kraj, wbrew temu co ciepło sam o sobie zwykł myśleć, kłopotliwy. Nieustawny, to znaczy ani przyzwoicie, sympatycznie mały, ani wystarczająco duży i ważny stosownie do swoich ambicji, i o samym sobie wyobrażeń. Polski ambasador w Paryżu Juliusz Łukasiewicz, nie czekając na wojnę, napisał książkę pt. „Polska jest mocarstwem”. Zdaniem Mussoliniego, które chętnie sobie w Warszawie powtarzano - „Polska jest mocarstwem niezależnym”. Niezależnym - to była prawda, jednak czy mocarstwem? Raczej, jak to ktoś określił, „mocarstwem kieszonkowym”. Tylko że Łukasiewicz, jako urzędnik państwowy mógłby się nabawić kłopotów służbowych i towarzyskich. Podobnie jak wszyscy, którzy publicznie wątpili w polską siłę militarną. Ale jeszcze o Powstaniu: przywołane obchody 50-lecia a już najwyraźniej 60-lecia, zdominowała legenda, która za logiczny skądinąd punkt wyjścia przyjęła stwierdzenie, że skoro Powstanie było, to

widocznie, najlepszy dowód, być musiało, co więcej takie, jakim właśnie poczęstowała nas historia. Inaczej mówiąc nie ma tu o czym deliberować. Wystarczy po wojskowemu po prostu pamiętać i czcić. A rozmaite pytania, dociekania, wydziwiania co do przewidywań, przygotowań, decyzji, dowodzenia Powstaniem i jego skutkach z użyciem niesympatycznych słów jak szanse, sens, koszty i to jeszcze ze znakiem zapytania, są bezprzedmiotowe. Nie tylko dlatego, argument nieodparty, że sprawa dotyczy czasu zaprzeszłego, czasu bezpowrotnego. Po prostu grymaszenie na przeszłość nie ma racji bytu, nie może liczyć na większe społeczne powodzenie, kiepsko się sprzedaje, dość mamy bieżących kłopotów, żeby udręczać się przeszłością. O zwycięstwie legendy zdecydował też szantaż patriotyczny, który patriotyzm wymuszał, kiedy innego sposobu na jego wykrzesanie nie było. Jak się okazało i w wolnej Polsce (a czemuż by nie, skoro należy do zasłużonej tradycji) ma legenda oficjalne, mocne prawo obywatelstwa. Stąd niedawne obchody rocznicowe upłynęły pod rozwiniętymi chorągwiami polityki historycznej, której niejako z natury dobrze służą multimedia, odwołujące się do umasowionej wyobraźni.

2. Ale przecież, tylko spokojnie, bez konserwatywnej histerii, media same przez się, niejako z góry nie są złem, po prostu należą do dzisiejszego świata (innego świata nie będzie) więc trzeba im dać szansę. Że to na swój sposób możliwe świadczy Muzeum Powstania Warszawskiego (tylko pamiętajmy, że historia Powstania zaczyna się we Wrześniu). Muzeum jest sukcesem. Oczywiście refleksji nie gwarantuje, trzeba ją sobie zapewnić już we własnym zakresie. Przemawia do, przypomina że, czasem nawet zbyt dosłownie. Opowiadał mi uczestnik Powstania (przedtem w Kedywie), naprawdę bohater, kawaler Virtuti Militari, że po prostu uciekł z Muzeum. Wypłoszył go sugestywnie przywołany grzmot niemieckich butów o bruk. Pamiętał ten odgłos: nie wszyscy weterani lubią wspominać tamte czasy, chociaż byli młodzi, walczyli i przeżyli. Cywile również nie lubią: moja matka zawsze wyłączała telewizor, kiedy rozpoczynała się filmowa strzelanina z lat wojny czy okupacji. Nawet na Krecie - mimo, że urodził się tam Zeus, mieszkał ogólnie znany potwór Minotaur, inżynier Dedal, twórca labiryntu i jego nieszczęsny syn Ikar, król Minos i perwersyjna królowa Pazyfae z córkami, tragiczną miłośnicą Fedrą i Ariadną, którą na pobliskiej wyspie Naksos opuścił, na rozkaz Dionizosa, dzielny zabójca Minotaura, ateński król Tezeusz, mimo wielu innych bogów, półbogów i bohaterów, et caetera i tak dalej, słowem tego wszystkiego, co razem stanowi naszą europejską własność i mimo że od lat pływamy tam i nurkujemy w międzynarodowym towarzystwie, tańczymy i popijamy schłodzone wino przy akompaniamencie cykad, nie mówiąc już o innych wakacyjnych przyjemnościach - a więc nawet na Krecie ludzie pamiętają o wojnie! A najstarsi Kreteńczycy, ubrani na czarno, wsparci na kijach z oliwkowego drzewa, jeszcze słyszą, wspominają taki sam jak ten, który wita w progach Muzeum Powstania Warszawskiego, łoskot podkutych niemieckich butów. I pytają, popijając łagodny winogronowy bimberek domowej fabrykacji, przy stolikach nakrytych ceratowym obrusem w kratkę z widokiem na morze albo góry, co to znaczy „Deutschland, Deutschland liber alles”, bo niby rozumieją co to znaczy, albo mogą spytać, przecież turyści i letnicy niemieccy są mile, licznie widziani, tylko dlaczego „ponad wszystko”? Ja najmocniej przeżyłem kolejną rocznicową wizytę w Muzeum, kiedy prosto stamtąd pojechałem na Powązki. I po zwiedzaniu multimedialnej ekspozycji pełnej życia, ruchu, głosów, muzyki, wibracji, wybuchów i komunikatów, usłyszałem brzożową ciszę, w której bohaterowie poznani w Muzeum, to znaczy tyłu spośród nich, leży pod białymi krzyżami. A po sąsiedzku, jakżeby inaczej, w swojej kwaterze, rzadziej odwiedzani, bo już niewielu zostało im najbliższych, odpoczywają, śpią snem wiecznym, tak się ładnie mówi, a tak naprawdę obracają się w proch, w niepamięć, żołnierze Września. No właśnie, Września dużą literą. Znowu mi się samo tak napisało. A gdyby ułożyć jakiś polski kalendarz historyczny, miesiąc po miesiącu, może niejednym miesiącem, pisany dotąd prawidłowo z małej litery awansowałby ortograficznie do dużej, ewentualnie jeszcze z jakimś towarzyszącym przymiotnikiem. Taki pomysł. Spróbujmy po kolei. Po prostu Styczeń: to miałyby znaczyć w domyśle Powstanie Styczniowe? Raczej nie, to nie brzmi. Lepiej zostawić, jak jest. W lutym, tak na wyczucie, niewiele się nam wydarzyło. Jedna Olszynka Grochowska pędzła Wojciecha Kossaka jeszcze nie czyni historycznej wiosny. Rewolucja lutowa to nie u nas tylko obok, w Rosji - słowem kalendarzowy odpoczynek. Ale już marzec, rozumiemy dość jednoznacznie i współcześnie jako Marzec, czyli i wydarzenia marcowe 1968 roku. W kwietniu, jak w marcu, zdarzyła się przedwojenna konstytucja, chociaż całkiem inna. Również przysięga Kościuszki na krakowskim rynku. Chyba mało kto pamięta, że wypadła akurat w kwietniu? Maj, czyli majowa jutrzienka, szczególnie „Vivat maj, trzeci maj, dla Polaków błogi raj”, czyli rocznica

Konstytucji, tej najślawniejszej majowej, z 1791 roku. Słowem maj, wystarczająco patriotycznie umajony, nie potrzebuje dużej litery. Natomiast Czerwiec mógłby nawet obyć się bez przymiotnika „poznański 1956”, czy „radomski” (20 lat później). Jeśli z kontekstu wynika, o które wydarzenie chodzi. Nic się na to nie poradzi, że lipiec, odkąd Manifest PKWN przestał być powodem do świętowania, utracił historyczne znaczenie. W sierpniu bodaj najwięcej się działo. Bitwa Warszawska 1920 roku. Powstanie Warszawskie: piszę Powstanie dużą literą podobnie jak Wrzesień. A Sierpień, po prostu Sierpień, ewentualnie z przymiotnikiem „Polski”, czyli Polski Sierpień, kojarzy się z Solidarnością. Wrzesień, podobnie jak wcześniej Marzec i Czerwiec wszedł już tu i ówdzie z dużej litery do potocznej pisowni, a więc ma pewne szanse na oficjalne ortograficzne uznanie. Podobnie Październik - oczywiście nie ten wielkosocjalistycznorewolucyjny październik Majakowskiego, który ”dmuchał jak zawsze wiatrami październik” i w ciągu dziesięciu dni wstrząsnął światem..., tylko nasz lokalny z 1956 r., Polski Październik, jak Polski Sierpień - w końcu nie tylko dla Polski ważny. Przewracamy następną kartkę. „Listopad dla Polaków niebezpieczna pora”, zwłaszcza wiadomej Nocy Listopadowej, która za sprawą Wyspiańskiego stała się tak ważna również dlatego, że poprzez jej nieobliczalne konsekwencje, czyli klęskę Powstania Listopadowego mogła powstać wielka literatura Wielkiej Emigracji. Również w listopadzie - radosne, bez względu na pogodę, odzyskane listopadowe Święto Niepodległości. Ale już grudniowi może przydać się zmieniona ortografia. Grudzień, czyli wypadki na Wybrzeżu 1970 r., albo Grudzień jako stan wojenny 1981 r. I gdyby nie Boże Narodzenie, domowe święto obchodzone niezależnie od wiary czy niewiary, można by powiedzieć, że polski kalendarz niewesoło się zamyka. A więc Marzec, Czerwiec, Sierpień, Wrzesień, Październik i Grudzień. Ponad połowa kalendarza z dużej litery. Są to imiona własne, mówiąc po francusku noms propres. Z wyjątkiem Września, wszystko wydarzyło się po wojnie. Należy do historii najnowszej, to znaczy, moim zdaniem, jeszcze nie do prawdziwej historii. Imiona te są tak blisko, że aby przywołać ich pamięć, wystarczy nazwa któregoś z wymienionych miesięcy. Ale Wrzesień, niech mu będzie Polski Wrzesień, jest tu najważniejszy. Bo gdyby nie wojna, która we Wrześniu się rozpoczęła, nigdy by się nie wydarzyły wszystkie te polskie miesiące pisane z dużej litery, które należą do naszych dziejów najnowszych. I właśnie z powodu Września takie było, nie żadne inne alternatywne, lepsze czy gorsze, życie polskich pokoleń.

3. Czy istnieje legenda Września? Jak legenda Powstania? Powiedziałbym nawet, że to legenda Powstania pamięć Września usuwa w cień. Bo to więcej niż legenda: legenda przekuta w mit, w prawdę legendy, bo legenda też jest jakąś prawdą. To znaczy z biegiem dni, biegiem lat, prawdą się staje i tryumfuje, bo zdolna jest nawet pokonać świadectwa, zakwestionować dokumenty. Co z tego, że przeciwstawiali się kiedyś legendzie Powstania na przykład generał Władysław Anders, redaktor Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski, ten ostatni nie dość, że pisarz, kompozytor, publicysta, to jeszcze uczestnik Powstania. Podobnie jak nieletni wówczas Jan Ciechanowski, po latach historyk Powstania, czy przyszły poeta Bolesław Taborski. Ich prawda o Powstaniu rozmija się z legendą. Więc przegrywa z innymi wspomnieniami, które lepiej odpowiadają, przyjętemu za obowiązujące, społecznemu zamówieniu. Opowiadał mi pewien bohater Powstania, trzykrotnie ranny, cudem ocalony, choć właśnie w Powstaniu stracił wiarę, że nie może dogadać się z kolegami, których pamięcią bez reszty zawładnęła legenda. Dopytywałem się, jak on sam, skoro jego towarzysze broni coraz mniej skłonni są przyznać się do jakiejś słabości, dawał sobie radę z arcyłudzkiem uczuciem strachu. Otóż mój bohater rzeczywiście nie bał się, ale interesujące zastrzeżenie, miał po temu prywatne powody. Po pierwsze wiedział, że na pewno zginie, czyli był spokojny. A poza tym w ogóle brakuje mu (taki defekt) wyobraźni. Więc, skoro nie bardzo mógł sobie wyobrazić w jaki sposób zginie, nie upierał się przy rozmyślaniach o własnej śmierci. Zresztą okazji do niej miał bez liku, niektóre nawet wspomina ze szczególnym humorem: oto nie sięgnął go miotacz płomieni, wiatr zakręcił w drugą stronę i Niemiec, dobrze mu tak, sam się żywcem spalił. Nikt z wyżej przywoływanych z imienia posiadaczy gorzkich refleksji o Powstaniu nie był nigdy w życiu komunistą, czy choćby zwolennikiem władzy ludowej, która istotnie w złą wierze, czemu trudno się dziwić, na rozmaite sposoby zwalczała, pomniejszała, fałszowała i prawdę i legendę Powstania. Naprawdę nigdy do końca się z nimi nie pogodziła, broniąc swojego wątpliwego legitymizmu. Słowem: wszyscy pozostali myślący inaczej niż każe legenda, zwolennicy Polski wolnej i niepodległej, ale odporni na mit, muszą trafić między malkontentów, mizantropów i sceptyków, jak ich określił w rocznicowym przemówieniu powszechnie poważany świadek, kronikarz, uczestnik historii, w tym Powstania prof. Władysław Bartoszewski, niezmiennie wierny swoim emocjom sprzed lat sześćdziesięciu. Pamięć Powstania przyćmiewa pamięć Września, nie tylko dlatego że jest o całych pięć ciężkich lat okupacji młodsza. Po Wrześniu nie została legenda życia i śmierci z pełnymi radości życia właśnie i junackiego humoru skocznymi piosenkami, które śpiewano w Powstaniu. Wrześniowa legenda jest tragiczna, ponieważ bliska prawdy. Prawdziwe wrześniowe świadectwa nie upiększają klęski. Poza kilkoma przykładami nieuleczalnego wojskowego samochwalstwa. I wynoszenia lokalnych, przejściowych sukcesów wysoko ponad ich rzeczywiste znaczenie. Niepopularne, krępujące słowa-haśła, jak: wina, błąd, lekcja, sąd historii, czy mówiąc zwyczajniej, historyczna recenzja potomnych, mają na przykładzie Września większe szanse, niż wobec Powstania. Które wciąż bywa traktowane namiętnie, osobiście, a także politycznie, nawet komercyjnie. Co w sumie nie sprzyja refleksjom ani ocenom. Oczywiście, są to wszystko nadobowiązkowe roztrząsania, luksusowe wzruszenia, dostępne dla ludzi, którzy chcą widzieć coś poza swoim wydłużonym przez kryzys nosem. Którym pamięć historyczna (byle nie polityka, czyli historyczna propaganda), jest do czegoś pomocna. Na przykład do poukładania sobie relacji z naszą teraźniejszością, do krytycznego jej zrozumienia. No, powiedzmy może mniej ambitnie, że niedawna przeszłość po prostu zaciekawia. To już byłoby coś. I emocjonuje. To nawet bardzo wiele, byle nie wpadać w toksyczne emocje i nie ułatwiać sobie sprawy, zwalając

całą odpowiedzialność za polskie katastrofy na złe, obce, zewnętrzne moce. Na przeklęte, geopolityczne przeznaczenie. Wrogów Polsce nie brakuje i nigdy nie brakowało, choć chętnie dziwiliśmy się temu, przekonani o swojej niewinności. A wrogowie, jak na nich przystało, intencje też mieli wrogie i siły często wielokrotnie potężniejsze. I rozbiorowa tradycja z końca XVIII wieku, kiedy to trzy drapieżne orły czy sępy rozdziobały Rzeczpospolitą na części, powtórzyła się siedemdziesiąt lat temu w demonicznej odmianie. Tym razem malownicze ptaszyska zostały zastąpione przez uproszczone graficznie symbole. Niby jakieś narzędzia tortur: swastykę oraz sierp i młot. Zaborców było tylko dwóch, ale, można by powiedzieć, nowej, nieznaney dotąd generacji. Zaczęli od podboju Polski, a mieli zamiar podbić i zmienić cały świat. Ale każdy na swój nieludzki obraz i podobieństwo. Więc tylko co do zguby Polski, na zgubę Polski jakoś potrafili się, do czasu, porozumieć. We Wrześniu, jak później w Powstaniu, nikt nam naprawdę nie pomógł. Chociaż we Wrześniu mieliśmy zobowiązanych własnoręcznymi podpisami, układami sojuszników. Z kolei w Powstaniu trudno było się pogodzić z dwuznaczną sytuacją. Bo znikąd pomocy, a do tego główny sojusznik naszych od pięciu już lat sojuszników ociąga się z pomocą, mając inne co do nas plany, więcej, wszelką pomoc właściwie uniemożliwiał. Jak mógł i jak śmiał? A czego można było się po nim spodziewać? Przecież pięć lat wcześniej, we Wrześniu, napadł na Polskę. Tym razem zaczekał aż Niemcy rozprawią się z Powstaniem. I nie został za to przez wolny świat potępiony, bo doraźnie byłoby to niewygodne, a potem, z czasem, czemu nie, jak najbardziej, tym bardziej, że nie ma to już praktycznego znaczenia. Zło ma to do siebie, że nigdy samo nie uderzy się w piersi, inaczej nie byłoby złem, prawda? Co gorsza, jak tłumaczy nasze judeochryścijaństwo, zło jest potrzebne światu, historii, człowiekowi. Moralnie. Żeby człowiek potrafił zło od dobra odróżnić. Poza tym trudno jest, jak ewangelicznie chciał Jan Paweł II, zło dobrem zwyciężać. Łatwiej, skuteczniej zło złem. W ostatniej wojnie światowej stalinowskie zło odegrało właśnie główną rolę w pokonaniu zła hitlerowskiego. Czy istniał dobry wybór między Stalinem i Hitlerem? Niektórzy się zastanawiali, który większym, który mniejszym złem. Hitler czy Stalin? Stalin czy Hitler? Jeden zbrodniarz i drugi zbrodniarz. Każdy inny. Jeden gorszy od drugiego. Ale w końcu który gorszy? Wiele przy odpowiedzi zależało od wojennych losów pytanego. Ale czy w ogóle był sens ich porównywać? Powiedzmy, że chociaż byli to śmiertelni wrogowie - uzupełniali się. Może nawet chwilami w duchu podziwiali? W każdym razie po podpisaniu Paktu Ribbentrop-Mołotow, 24 sierpnia 1939 r., Stalin wznosił toast nie tylko za wznowioną współpracę niemiecko-radziecką, ale też osobiście za zdrowie Hitlera. Ten ostatni nie był tak wylewny, niemniej jednak w Polsce, we wrześniu 1939 r. doszło między nimi prawie na dwa lata do owocnej współpracy. Hitlerowcy przeprowadzili akcję A-B, zaawansowaną próbę fizycznej likwidacji polskiej inteligencji, lokalnych elit w zachodnich województwach, przesiedlali kogo chcieli do Generalnej Guberni. Niepodpisanie volkslisty, jeśli miało się taką możliwość, groziło ciężkimi konsekwencjami. W państwie Józefa Stalina dokonano wielkich wywózek Polaków na Sybir, zmuszano do przyjmowania radzieckiego obywatelstwa, w masowych rozstrzelaniach ginęli polscy oficerowie. Czy była jakaś wymiana doświadczeń, wzajemne uzgodnienia? Wiadomo tylko, że wysocy rangą funkcjonariusze Gestapo i NKWD spotkali się na przełomie 1939 i 1940 roku w Zakopanem. W każdym razie lojalni wobec siebie przez prawie dwa lata partnerzy, nie tylko w sprawie rozwiązywania problemu polskiego, obdarzali siebie pewnym, ograniczonym z natury rzeczy, zaufaniem. Niemcy dość hojnie dzielili się, oczywiście w sposób przemyślany, osiągnięciami swojej techniki wojskowej, strona radziecka

rewanżowała się barterowo, surowcami i żywnością.

4. Do jakiego stopnia pytania o szanse, a w związku z tym o koszty Powstania, które zadawali sobie malkontenci, mizantropi i sceptycy, niektórzy wymienieni tu z imienia i nazwiska, mają sens wobec Września? Dotykamy sprawy rewizjonizmu historycznego, dla którego wszystko jest możliwe. Alternatywa bywa bardziej przekonująca niż wydarzenia, które faktycznie miały miejsce, a dzisiejsza wszechwiedza pozwala bez skrępowania wyrokować o przeszłości. Wiele pytań, kiedy myślimy o Powstaniu i Wrześniu, będzie się powtarzało. Stąd przypominę sobie trochę wTażeń z rocznicowych spotkań, których tematem była, jakby to zarzumiałe nie brzmiało, ocena Powstania. Gdzieś około 50. rocznicy Powstania zaproszony do telewizji słowami: „Bo pan jest przeciw powstaniu”, znalazłem się w dyskusyjnej mniejszości. Żeby „co było do okazania” (przypomina się CBDO ze szkolnych zeszytów), okazało się że niby tragedia, niby klęska, a tak naprawdę - Victoria. Patriotyczna, w każdym razie. Jak wiadomo, wszelkie znaki zapytania, trzykropki, tryb warunkowy, zdania złożone podrzędnie nie sprawdzają się w telewizyjnej gramatyce. Raczej zdecydowane pojedyncze kropki, a najlepiej wykrzykniki. Powiedzmy, że powoływałem się na liczbę ok. 200 tys. ofiar Powstania. Jakie około? Najwyżej 180 tysięcy - prostuje mój kompetentny antagonist, który więcej (naprawdę wiele) wie, mniej rozumie. I już leci na ekranie następne pytanie. Albo innym razem, historyk-polityk, czy raczej od pewnego czasu polityk-historyk, w każdym razie profesor nieustający, po prostu stwierdza, że to dzięki Powstaniu nasz kraj nie zasilił wielkiej rodziny Republik Radzieckich jako kolejna spośród nich siedemnasta. I nie ma cierpliwego antenowego czasu, żeby tłumaczyć, że Powstanie ma tu niewiele do rzeczy. Polska walczyła na wszystkich frontach, powstawała przeciw Niemcom, i co z tego. Węgry czy Rumunia walczyły u boku Hitlera. Czechosłowacja miała dwa powstania, krótkie praskie i poważne słowackie. Bułgaria trzymała się z boku. A jak określić wojenną przeszłość NRD? Ale wszyscy otrzymali podobny satelicki status. Kraju Demokracji Ludowej. Oczywiście każde z tych państw miało inny stopień zniewolenia, zależności od moskiewskiej centrali. Inną, również przez wojenne doświadczenia powojenną historię, narodową specyfikę. Jedno pewne: Stalin, to Stalin zdecydował o równoległym, dość elastycznym dla wszystkich modelu stopniowanej sowietyzacji, powolnego trawienia. Ale umarł. A co było potem, to już inna skomplikowana historia. No właśnie. Skomplikowana, ale jak tu się przebić ze znakami zapytania? Z pytaniami, czy może rozczarowani klęską Powstania i tym, że Zachód nie pomógł, Zachód przede wszystkim, bo od Armii Czerwonej jakby mniej się wymagało. Że zniszczenie Warszawy, a potem jej odbudowanie ułatwiły jednak pogodzenie się społeczeństwa z nową, niechcianą władzą? Albo jak przekonująco zaprzeczyć Normanowi Daviesowi, który napisał, że straty niemieckie i powstańcze (żołnierskie) w zabitych były porównywalne. To tak dobrze, budująco brzmi, chociaż naprawdę, znowu podobnie jak we Wrześniu, zginęło Polaków z bronią w ręku, nie licząc ludności cywilnej, wielokrotnie więcej niż wrogów. I inaczej być nie mogło wobec niemieckiej przewagi technicznej i logistycznej. Czy we Wrześniu, czy w Powstaniu. A słusznej sprawy wyższość moralna oraz bohaterstwo, nie mogły żadną miarą takiej przewagi zniwelować. „Na żywo”, czyli w sytuacjach kiedy przed widownią nie chroni telewizyjne szkło, bywało mocno nieprzyjemnie. Kiedyś sam Jan Nowak Jeziorański uczynił mi zaszczyt mianując partnerem do dyskusji o Powstaniu, dyskusji publicznej dla Polskiego Radia w salach Muzeum Historycznego na Starym Mieście. Ale kiedy zacząłem, taka moja rola, utyskiwać na fatalne uzbrojenie, złe dowodzenie, polityczną naiwność, szafowanie w Powstaniu najlepszą krwią, słowem szukając dziury na całym upiększonym obrazie Powstania, krzeczy jeszcze (było to kilkanaście lat temu)

kombatanci zaczęli powstawać z krzesel. Stała mi wówczas scena z Potopu, kiedy Butrymowie brali się za Kmicicową kompanię. Tyle, że tam podnosili się z ciężkich, nie dla Butrymów ław. Ale odgłos był zbliżony, przesławne, groźne „rum rum” i sam Kurier z Warszawy musiał zapobiec nieobliczalnej awanturze, przyznając mi prawo do wyrażania własnej opinii. A potem podzieliłem się z Nowakiem-Jeziorańskim tym literackim skojarzeniem, jako że obaj kochamy Sienkiewicza. Innym razem szczęśliwy, bo ocalał w dobrym zdrowiu i z dobrą pamięcią bohater Powstania, odpowiedział na moje narzekania, że o Powstaniu nie powinni wypowiadać się ci, którzy nie brali w nim udziału. Ale ja przepraszam, czy to znaczy, że Powstanie ma być wyłączną własnością jego przedostatnich już weteranów? A co na to wszyscy nie-weterani? Których jest coraz więcej, bo wciąż rodzą się tak zwane nowe pokolenia, dla których przyszłości, tak się mówi, podjęto powstańczą walkę? Czy ci obdarowani pamięcią Powstania nie mają prawa do większej dociekliwości, zadawania pytań? A gdyby ktoś zaproponował odwrotnie, na przekór, że to właśnie akurat może kombatanci nie powinni zabierać głosu we własnej sprawie, tylko spokojnie, pozostając przy swoim, wysłuchać jak też Powstanie postrzegane jest z dystansu? Ponieważ ich emocje, oceny, oparte na wspomnieniach będą zawsze subiektywne i powiedzmy sobie otwarcie: biologia zaciemnia, czy raczej nadmiernie rozjaśnia perspektywę. Bywa też odwrotnie: nie brakuje młodych, czy średnio-młodych miłośników wojen i entuzjastów powstań w różowych technikolorach, którym nie pasują jakieś pesymistyczne wspomnienia. Oczywiście, niczego podobnego nie wypada głośno powiedzieć, a poza tym między uczestnikiem czy naocznym świadkiem historii z jednej, a krytycznym badaczem źródeł z drugiej strony toczą się klasyczne spory, czasami mocno nieprzyjemne. Ktoś pamięta wyraźnie i wydaje mu się, że działo się to wczoraj. Skąd strzelał, z jakiej broni, o której godzinie, czy już padało, czy jeszcze świeciło słońce, pod którym dowództwem, czy chciał mu się raczej pić czy spać, gdzie stali Niemcy, gdzie nasi, kto się sprawdził, kto załamał. Tymczasem rozmaite relacje się nie zgadzają, z dokumentów też wynika inaczej. Ale one również mogą się mylić. I oto młody historyk, krępująca sytuacja, poucza weterana, kiedy tamtego zawiodła pamięć, gdzie pomylił się, w którym momencie dopuścił się błędu, jak zachował się naprawdę, a jak powinien był. I oto w psychice kombatantów, którzy ryzykowali bezinteresownie, dla patriotycznej idei, w miarę upływu lat pogłębiają się roszczenia. Rodzą się pretensje do podziwu, posłuchu, oraz poczucie wyższości. To zrozumiałe, i co mogłem odpowiedzieć starszemu panu z rozetką Virtuti w klapie niemodnej marynarki, kiedy publicznie huknęła na mnie, że wymyślam bzdury na temat porażki Powstania, podczas gdy on pamięta te chwile, kiedy nad Warszawą załopotala biało-czerwona flaga. I tej chwili nie zapomni aż do śmierci. Na szczęście we własnym łóżku. A nie zasypany pod gruzami, rozerwany na strzępy, ranny i spalony żywcem, ustrzelony przez gołębiarza. Można by tak dalej wyliczać, tylko po co. Ale najgorzej było, przykra niespodzianka, podczas spotkania w mieście Kędzierzyn-Koźle, daleko od Warszawy. Tam, na Dolnym Śląsku, spodziewając się krytyki Powstania, dla równowagi i sprawiedliwości zaokrąglam refleksje, wystrzegałem się wszelkiego dyskusyjnego ryzyka. Co jednak nie wystarczyło, przeciwnie, jeszcze rozeźliło radykalnych słuchaczy z rodzin kresowych, jak się okazało. Więc zostałem nawet przez miłą panią, która prowadziła spotkanie, oskarżony o z gruntu polskiemu duchowi obcą kupiecką mentalność. Że niby co się w historii kalkuluje, jakie są koszty zrywu patriotycznego, które ponoszą przecież nie tylko jego bohaterowie, również osoby towarzyszące oraz przypadkowe. I tak jest słusznie, powiedziano mi, było tak zawsze i tak ma być. W podobnych sytuacjach czułem duchowe wsparcie

wielkich Mizantropów, Malkontentów i Sceptyków, ale wiadomo, że im wolno więcej, wolno wszystko, a zresztą kto tam dokładnie wie, że mieli jakieś odmienne zdanie, nieważne, skoro wygrywa legenda. I nie tłumaczy mnie wcale data urodzenia: jako parolatek mógłbym przynajmniej kibicować trochę tylko starszemu Antkowi Rozpylaczowi. Niby nie moja wina, bo czy ode mnie zależało, że wojnę spędziłem u rodzonoego dziadka na rzeszowsko-tarnowskiej wsi. Ale wobec tego mógłbym przynajmniej powstrzymać się od zabierania głosu w sprawie Powstania. Tym bardziej, że nikt z mojej galicyjskiej rodziny w Powstaniu nie walczył

5. Co innego we Wrześniu 1939 r. Mój ojciec, oficer rezerwy, dostał Krzyż Walecznych za Kampanię Wrześniową. Tym cenniejszy, że przyznały go emigracyjne władze w Londynie. Mimo że on sam mocno naraził się emigracji, powojennym zaangażowaniem w krajową rzeczywistość i mało tego, namawiał emigrantów do powrotu. „Co my z panem, Panie Konstanty, zrobimy - powiedział mu podobno generał Anders - przecież Pan jest porządnym człowiekiem”. Krótco przed śmiercią ojciec napisał i wydał „Kartki z wojny”, które rozpoczynały się właśnie w 1939 r. Szczerze, a więc prawdziwie, na ile było to możliwe w warunkach cenzuralnych, przedstawił co go we Wrześniu spotkało i, dla mnie to najważniejsze bo źródłowe, jak o tym myślał wówczas, a nie dopiero po latach wojny, okupacji i Polski Ludowej. Poza tym w ówczesnym MSZ pracowało trzech jego krewnych. Michał Łubieński, Dyrektor Gabinetu ministra Becka, był tegoż codziennym współpracownikiem. Pozostawił po sobie maszynopis zatytułowany „Refleksje i reminiscencje”, pisany w końcu 1940 i w 1941 roku w polskiej komendzie miasta Perth (Szkocja). Prócz przenikliwych uwag na temat przedwojennego państwa znajdziemy tam świadectwo człowieka, który towarzyszył Beckowi w ważnych podróżach dyplomatycznych oraz był uczestnikiem doniosłych spotkań i narad. Ludwik Łubieński został w 1939 roku jednym z sekretarzy Becka. Podczas wojny był adiutantem Andersa, po wojnie pracował w Radiu Wolna Europa. Aleksander Łubieński, był Dyrektorem Protokołu Dyplomatycznego. Według innych źródeł tylko pełniącym obowiązki przypisane do tego stanowiska, przedtem attache wojskowym w Helsinkach i w Paryżu. Nic o nim nie wiem, ale poseł francuski w Warszawie Jean Laroche sporządził na prośbę premiera Brianda poufną charakterystykę tego dyplomaty: „Kapitan Łubieński sprawia wrażenie bardzo inteligentnego człowieka... Jak sądzę, nie zaniedba niczego, aby wywrzeć pozytywne wrażenie na osobach, z którymi będzie w kontakcie. Nie uważam jednak, aby te cechy miały wpływać na okazywanie mu zupełnego zaufania (przynajmniej do czasu uzyskania pełniejszych informacji)... Były oficer carski - jest sympatyczny, miły, inteligentny i subtelny. Mimo że utrzymujemy z nim serdeczne stosunki, to wydaje mi się, iż nie należy sobie robić wielkich złudzeń. Z punktu widzenia jego uczuć wobec Francji, nie uważam go za absolutnie pewnego... Jest oportunistą i obecnie gra kartą Marszałka”. Jak na stosunki między sojusznikami, raport nie sprawia dobrego wrażenia. I takie też były wzajemne przedwojenne relacje między Francją i Polską. Polska w osobie ministra Becka robiła Francji na złość. Francja traktowała Polskę protekcjonalnie, rozdrażniona z powodu swojego słabnącego w Europie autorytetu. Rzeczywiście istniała groźba, że Francja zagwarantuje sobie pokój i granice z Niemcami, pozostawiając otwartą sprawę niemieckich roszczeń na Wschodzie, to znaczy wobec Polski. Ale Beck zwalczał również antyniemieckich polityków związanych z Francją: Titulescu w Rumunii i Benesza. Ten ostatni istotnie był Polsce nieprzyjazny, ale swoją drogą nie uczyniono nic, aby zmienić to nastawienie. Przeciwnie, zdaje się że wrogość i lekceważenie Czechosłowacji były stałym elementem polskiej polityki zagranicznej. Drażniły też Polskę francuskie sympatie i zabiegi niegdyś wokół Rosji, aktualnie wobec Związku Radzieckiego. W tym tradycyjna polska zazdrość o to, kto jest na środkowym wschodzie Europy głównym Francji przyjacielem. A zatem w rozpamiętywaniu Września czuję się pewniej. A klasyczne pytanie, czy mieliśmy we Wrześniu bić się, czy nie bić z Hitlerem, też zasługuje na zastanowienie. W ogóle jest to trudne jako trawestacja, na historyczny polski użytek, nierozstrzygniętego egzystencjalnego „być albo nie być”. Które bez powodzenia, ale jednak roztrząsał pewien młody książę duński. Podobnie w wersji polskiej nie ma dobrej odpowiedzi na „bić się czy nie bić” w sytuacji, kiedy słuszność jest po naszej stronie, ale mamy

gwarantowane raczej tylko zwycięstwo moralne. Natomiast zwycięstwo po prostu, zwycięstwo tout court okaże się doraźną tylko nadzieją, długo się nie spełniającą. Zadawałem sobie to pytanie pisząc o powstaniach polskich dziewiętnastego wieku. Kolejno przegrywanych i znowu powtarzających się z podobnymi błędami i złudzeniami. Również o Powstaniu Warszawskim. Które było tamtych powstań ostateczną, oby ostatnią konsekwencją. Desperackim, tak uważam, zwieńczeniem. W kontekście Września pytanie „bić się czy nie bić” brzmi jeszcze inaczej. Nie było we Wrześniu żadnego powstania, istniało Państwo Polskie, wojsko polskie, nasza duma. Żadnych butelek z benzyną, broni zrzutowej, zdobyczej, czy domowej roboty, tylko lepsze czy gorsze, oryginalne albo zakupione, ale już polskie czołgi, działa, samoloty i okręty. Piechota i kawaleria lekko zmotoryzowana, lotnictwo i marynarka tak pięknie się rozwijające. Społeczeństwo zostało włączone w te przygotowania. Szkoły, zrzeszenia kupców, gminy żydowskie składały się na uzbrojenie, które podczas podniosłych uroczystości przekazywano wojsku. Latem 1939 roku masowo kopano rowy. przeciągano druty kolczaste. Dozorcy gromadzili piasek i wodę do gaszenia pożarów. Zaklejano szyby paskami papieru, spodziewając się bombardowań. Na Placu Piłsudskiego w Warszawie można było się zapisać na żywe torpedy, według mody, która przyszła z Japonii. W Krakowie pewien hotel udekorował fasadę lufami armatnimi z tektury.

6. A zatem, czy można było ustąpić Hitlerowi? Przeciwstawiono mu się wiadomo z jakim skutkiem, więc pytanie powraca tylko teoretyczne, czy nie należało, zamiast liczyć na odsiecz i przeceniać własne siły, raczej cofnąć się, poczekać do lepszej okazji. Czy jednak, tak jak się stało, walczyć bez względu na cenę, którą przyjdzie zapłacić. Pytań o Wrzesień jest znacznie więcej, niż o Powstanie. Czy ówczesny rząd sanacyjny jest winny wrześniowej klęski? Inaczej mówiąc, czy ponosi za nią odpowiedzialność, skoro nie chciał jej z nikim dzielić? Czy się skompromitował? No, tak to wygląda. Niestety. Czy wobec tego, opozycja miała prawo bezwzględnie, czasem nawet brutalnie rozliczać się z sanacją w chwili klęski narodowej, wykorzystać moment załamania państwa dla przejęcia władzy, eliminować ludzi z rządzącego przed wrześniem obozu, również tych którzy oddawali się nowemu polskiemu rządowi do dyspozycji? Chyba nie było innego wyjścia. A czy należało wypowiedzieć wojnę Związkowi Radzieckiemu, skoro Armia Czerwona 17 września przekroczyła naszą wschodnią granicę? Istnieje teoria, że wówczas oficerowie więzieni w Katyniu i innych obozach mieliby jasny status jeńców wojennych. A jednak wydaje się, że prawnicy stalinowskich służb bezpieczeństwa uporali się z tym problemem, skoro zapadła polityczna decyzja: „rozstrzelać”. Poza tym represje wobec obywateli wrogiego państwa mogły być jeszcze bardziej rozległe i ciężkie, a i tak niewiele im brakowało. Dokonywano przecież masowych aresztowań i wywózek. Ale przyszło mi zmierzyć się z tym głównym pytaniem, tzn. czy należało bić się czy nie bić z Hitlerem, jeszcze dawno dawno temu, jeszcze w poprzedniej epoce, przed czerwcem 1989 roku, a prawie pół wieku po Wrześniu. Przy czym pytanie padło w agresywnej, spersonalizowanej formie. No proszę się przyznać, czy Pan, krytykując tutaj nasze powstania, nawet warszawskie, nie skapitulowałby przed Hitlerem? To co, może należało w ogóle poddać się Hitlerowi, skoro był o tyle silniejszy? A więc obie daty 1939 i 1944, Wrzesień i Powstanie, uzyskały wspólny mianownik. Pytał student zapewne, pod koniec dyskusji na temat Powstania właśnie. W słynnej krakowskiej „Beczce” u dominikanów, prowadzonej przez ojca Andrzeja Kłoczowskiego OP. Duszpasterza akademickiego, który w trudnych latach 80. przywracał młodym ludziom wiarę w sens aktywnego życia tutaj. „Beczka” znaczyła wówczas bardzo wiele, nieporównanie więcej niż zwykły klub dyskusyjny, była nieformalnym środowiskiem rozgrzanej umysłowo młodzieży, ambitnie walczącej z chorobami tamtych lat, tzn. marazmem i frustracją. I wchodząc do „Beczki”, czyli na salę o beczkowatym kształcie, do byłego klasztornego refektarza, pełnego pięknych dziewczyn i odważnych chłopców (te rozchylone usta, gniewne spojrzenia) czułem, że wszyscy albo prawie są przeciw mnie, czterdziestoparoletniemu wówczas malkontentowi, sceptykowi i mizantropowi, chociaż wcale tak o sobie nie myślałem, nie znałem zresztą tej wyliczanki. Ja, prelegent, z Warszawy, co prawda w pierwszym pokoleniu, ale już zarażony konformizmem, czyli determinizmem historycznym - a tymczasem na miejscu w Krakowie, tym najbardziej tradycyjnym z polskich miast i to w wersji mieszczańskiej, nigdy nie brakowało radykalnej młodzieży. A w „Beczce” zbierała się ta dobra, radykalna młodzież. Jeszcze w czasie rozbiorów, Galicja (Lwów i Kraków) była Piemontem nie tylko kulturalnym. I to jeszcze na długo przed czynem legionowym. Murat jadąc na spotkanie, czytałem piękne dziewiętnastowieczne wspomnienia obywateli Krakowa, którzy jako kilkunastoletni chłopcy uciekli do powstania styczniowego. A gdy spotkała ich rosyjska niewola, młodociany wiek, naiwna odwaga budziły, chyba w drodze wyjątku, kozacką litość. Zatem wrócili do Krakowa i być może również ich potomkowie tłoczyli się w „Beczce”. Dość, że panował tam klimat dyskusyjno-insurekcyjny, a w tym klimacie pytanie z Hitlerem w tle brzmiało właściwie retorycznie, prowokacyjnie.

Żeby w końcu się samookreślił, przestał kręcić w denerwujący sposób. Więc odpowiedziałem jak trzeba. Odruchowo i bojowo. Prawdę mówiąc, w tamtej atmosferze nie miałem wyboru. A poza tym któżby nie chciał, raz na jakiś czas przynajmniej, spodobać się młodzieży. Być może pomagała mi również dyskusyjna rutyna: nie próbować rozmów na niebezpiecznych przykładach. No bo Hitler! Sama myśl o jakichś ustępstwach wobec Hitlera wydaje się niedopuszczalna. Więc ja również zadeklarowałem stanowcze „nie” wobec jego bezczelnych żądań. I zostałem chyba pierwszy raz podczas spotkania nagrodzony brawami. A może, jak to się stało w tym wypadku, czasem najtrafniejsza bywa pierwsza, instynktowna, niechby nawet trochę wymuszona ogólną atmosferą reakcja. Bo dzisiaj po latach utwierdziłem się racjonalnie w przekonaniu, że minister Beck, jakim by nie był ministrem, jako pierwszy w Europie czyli na świecie polityk, stawiając się Hitlerowi w imieniu Polski i swoim własnym, miał rację. A pewności tej nabrałem, kiedy całkiem niedawno rozmnożyły się głosy na różne sposoby powątpiewające w słuszność owej zaskakującej zmiany linii politycznej polskiego ministra spraw zagranicznych, byłego podpułkownika artylerii konnej. Bo czego tak na dobrą sprawę, zastanawiają się rewidenci historii, domagał się Hitler. W sumie niby nie tak wiele. Włączenia Gdańska do Rzeszy, czyli uznania niemieckości tego miasta, które akurat wówczas było jednym z najgorliwiej niemieckich, a nawet hitlerowskich miast. A więc potwierdzenia stanu faktycznego, choć zrozumiałe, że ani ten stan, ani ten fakt Polsce się nie podobał. Co do korytarza - stara sprawa, niemieccy politycy Treviranus czy Stresseman publicznie u siebie i przy wszelkich międzynarodowych okazjach podejmowali temat korytarza jako krzyczącą niemiecką krzywdę. Oto ten polski korytarz w sposób nienaturalny rozdziela Prusy Wschodnie od pozostałej ojczyzny. I Zachód współczuł, rozumiał te pretensje, a brytyjski premier Chamberlain już w 1925 r. stwierdził, że polski korytarz nie jest wart życia jednego brytyjskiego grenadiera. I rzeczywiście dopiero polsko-niemiecki pakt o nieagresji, zawarty z Hitlerem w 1934 r., oznaczał przynajmniej zawieszenie na kilka lat spornych kwestii. Przez owych kilka lat Hitler cierpliwie nie podnosił gdańskich ani pomorskich problemów. Nawet w 1939 r., kiedy stosunki już są bardzo złe, czego zażąda prócz Gdańska, który całym sercem do niego należy? Eksterytorialnej szosy i linii kolejowej w poprzek korytarza. Logicznego ułatwienia niemieckiej komunikacji ze względów ludzkich i gospodarczych. A tym samym potwierdzenia istnienia korytarza. I być może sprawę dałoby się uregulować za pośrednictwem kilku bezkolizyjnych wiaduktów, przy której to okazji pełna polskiej fantazji myśl techniczna miałaby okazję dopełnić się z niemiecką akuracnością. To prawda: żądania niemieckie zostały wypowiedziane w końcu kwietnia 1939 w ostry sposób. Ale dopiero wówczas gdy poufna i grzeczna, można powiedzieć bezpośrednia (bo brało w niej udział w sumie 7 osób) rozmowa Hitlera z Beckiem w Berchtesgaden oraz pojedyncze wysiłki Góringa nie przyniosły żadnego efektu. Można było jednak zrozumieć przywódców Trzeciej Rzeszy, a pamiętajmy, że nie byli to gentlemani. Oto Polska, która wydawała się zainteresowana współpracą z Niemcami na zasadzie wzajemnego zrozumienia dla obopólnych interesów, a najlepiej rzeczywiście cudzym kosztem, jak to miało miejsce przy upokarzeniu i rozbiórce Czechosłowacji, umacnia, odnawia sojusz z Francją, zawiera z Anglią, czyli państwami, które zrobiły się w stosunku dla nowych Niemiec nieprzyjazne. A przecież państwa te nie pod żadnym przymusem, tylko z własnej woli i kalkulacji przyjęły do wiadomości, właściwie uznały kolejne sukcesy Hitlera. Remilitaryzację Nadrenii, Anschluss, zagarniecie Sudetów, zajęcie Kłajpedy jako odwiecznie niemieckiego Memla, podbój Czech i Moraw, a wszystko osiągnięte sztuką dyplomatyczną, czyli bez wojny. Politycy państw

zachodnich bardzo późno zrobili się wrażliwi na opinię publiczną, której się nie podobały wewnętrzne sprawy niemieckie. A wcześniej pokój międzynarodowy, pokój, na który po doświadczeniu I wojny światowej nie było prawie ceny, dla społeczeństw zachodnich oraz ich przedstawicieli stanął na pierwszym miejscu. Polska prasa tylko częściowo ubolewała nad tym co dzieje się w Niemczech. Natomiast minister Beck dostrzegał w mieszaniu się do cudzych spraw niepokojący syndrom „wojen religijnych”. Zwierzył się swojemu biografiiście Konradowi Wrzosowi, że „Europa wołała obrażać się na Hitlera, niż się z nim ułożyć”. Ale tu Beck nie miał racji. Europa układała się z Hitlerem, choć od początku nie miała o Trzeciej Rzeszy dobrego mniemania. Natomiast uwaga polskiego ministra, wypowiedziana na forum Ligi Narodów, z pewnością podobała się Niemcom. Aby sąsiedzi Niemiec, czy jakiegoś międzynarodowe organizacje nie przejmowały się zbyt na przykład losem niemieckich Żydów, losem, który w majestacie prawa regulowały ustawy norymberskie. A także obywatelskie inicjatywy, czy rozporządzenia lokalnych władz. Częściowo tylko inspirowane, ale bez formalnej biurokracji, przez państwo. Wewnętrzną sprawą Niemiec była też na pewno krwawa rozprawa Hitlera z brutalnym i nieobliczalnym Ernstem Röhmem, w czym niektórzy obserwatorzy chcieli się dopatrzeć zwycięstwa nazizmu umiarkowanego. Co prawda, przy okazji zamordowano przeciwników Hitlera z innych ugrupowań, ale znalazł się wśród nich również wpływowy, a bardzo Polsce nieprzyjazny generał von Schleicher. Słowem Nowe Niemcy robiły u siebie porządki po swojemu i wygodniej było Europie myśleć, że jej to nie dotyczy. Przyjmowano do wiadomości pokojowe deklaracje Hitlera z nadzieją, że prześwitujące w nich gdzieś groźby nie przekreślają pojednawczej intencji. Politycy europejscy musieli przyznać Hitlerowi polityczną skuteczność, najwidoczniej wrodzoną, skoro jedyną szkołą, z którą miał do czynienia i to negatywnie, była Wiedeńska Akademia Sztuk Pięknych. A więc talent, który zawsze budzi respekt rutyniarzy. Narodowosocjalistyczna rewolucja była w tym rozumieniu sprawą czysto niemiecką, nie eksportową i tym jej nacjonalistycznym ograniczeniem pocieszał się nawet świątły polski liberalny dziennikarz Antoni Sobański, miłośnik niemieckiej cywilizacji i kultury, którego przerażał nazistowski antysemityzm, palenie książek, partyjne wiece i defilady. Ale najwięcej inicjatywy w obronie pokoju przejawiał właśnie Hitler. Na otwarcie berlińskiej olimpiady wypuszczono w powietrze 20 tysięcy białych gołębi, które od dawien dawna były symbolem pokoju: Picasso nic tu oryginalnego nie wymyślił, po prostu narysował, już po wojnie, swojego wdzięcznego gołąbka. Walka o pokój, dla której trzeba było czasem pogrozić wojną, to zresztą ulubiona technika geopolityczna państw totalitarnych, osobiście dyktatorów. Przecież Stalin i jego satelici zaraz po wojnie zajmowali się walką o pokój, prowadząc zimną wojnę ze znacznym międzynarodowym powodzeniem. Co do mieszania się w sprawy wewnętrzne, przeciw czemu Beck występował w imieniu Polski, wszelkie władze, którym demokracja sprawia kłopoty, bardzo tego nie lubią. Dla Polski drażliwy problem mniejszości narodowych, raz po raz wywlekany na posiedzeniu Ligi Narodów stanowił również sprawę wewnętrzną. Owe mniejszości, prawie 1/3 polskich obywateli, nie zawsze były lojalne, jak również często źle traktowane. Skargi podnosiła głównie mniejszość niemiecka. I dopiero Hitler, póki prowadził z Polską swoją grę, czyli do czasu, potrafił wyciszyć te głosy. Właśnie w tym okresie pokojowego sąsiedztwa, jeden z przywódców mniejszości niemieckiej, Włesner, nazwał Hitlera najbardziej oddanym i bezinteresownym przyjacielem narodu polskiego. A w wielu lokalach niemieckiej organizacji, obok portretu kanclerza Hitlera, wisiał portret marszałka Piłsudskiego. Prowadząc ze wszech miar korzystną

dla Trzeciej Rzeszy politykę obrony pokoju, musiał Hitler na ów czas rozmów i rokowań przeplatanych szantażami zapomnieć o swoich prawdziwych przekonaniach, które wyraził najpełniej w „Mein Kampf”. Ta pozycja powinna była dać wielu ludziom pobłażliwie śledzącym wydarzenia za naszą zachodnią granicą wiele do myślenia. Mówił tam Hitler, bez zbędnej hipokryzji, co naprawdę myśli i jaki los gotuje Słowianom po niemieckim zwycięstwie. Tymczasem przez parę lat musiał wdziewać owczą skórę. Mógł być sobą na parteitagach, czy w gronie zaufanych współpracowników. Ale na zewnątrz musiał sprawiać wrażenie obliczalnego reprezentanta zawsze przecież liczącej się w Europie niemieckiej racji stanu, wyraziela aspiracji wielkiego europejskiego narodu, który zapewne przesadza z nienawiścią do Żydów, chociaż antysemityzm na starym kontynencie był całkiem popularny. Ale za to deklarował się Hitler jako przysięgły wróg komunizmu, którego wszyscy się bali. Z tego co wiadomo o cyklofrenicznej psychice Hitlera, to udawanie, przebieranie się, przywdziewanie i zdzieranie masek musiało go wiele kosztować. I myślę, że wreszcie z ulgą w końcu kwietnia 1939 r. wyrzucił z siebie, pod adresem Polaków, nie tylko czego od nich żąda, ale co naprawdę o nich myśli. Tej siły i szczerości oczekiwali od wodza już od dawna hitlerowcy, hamujący z trudem swoją narodowosocjalistyczną gotowość.

7. Według pewnych obliczeń rok wcześniej liczbowo ujęty stosunek sił między Rzeszą i sojuszem angielsko- francuskim był dla Hitlera korzystniejszy, ale w międzyczasie Niemcy odniosły kolejne sukcesy i to wciąż jeszcze bez wojny. Rozprawiły się ostatecznie z Czechosłowacją. Zagarnęły czeski arsenał. Świetny przemysł zbrojeniowy podbitego kraju zaczął pracować dla Trzeciej Rzeszy, zintegrowany z przemysłem niemieckim. Jeden specjalistyczny przykład: elitarne oddziały strzelców górskich z szarotką na czapce zostały wkrótce przebrojone w krótsze, poręczniejsze, skuteczniejsze w trudnym terenie karabinki z Brna. Wehrmacht szkolił się z nieubłaganą intensywnością. Polska, podobnie jak niedawno Czechosłowacja po Anschlussie, została strategicznie otoczona od południa. Tym razem przez sojusznika Niemiec, państwo słowackie, podrażnione dodatkowo zbrojną korektą granic na Spiszu i Orawie, którą to korektą Polska uzupełniła sobie zajęcie Zaolzia. No i wreszcie zawarł Hitler ze Stalinem pakt, który podpisali w Moskwie, przechodząc ramię w ramię do historii, upętomocnieni ministrowie Ribbentrop i Molotow. Tym zaskakującym manewrem, dosłownie tydzień przed atakiem na Polskę, Hitler ubiegł anglofrancuską akcję dyplomatyczną pozyskania Stalina. A przy okazji został właściwie ośmieszony inny, tradycyjny pomysł Zachodu, aby skierować agresję Hitlera przeciw Rosji, przynajmniej w pierwszej kolejności przeciw Rosji, po to by komunizm i faszyzm wyniszczyły się w śmiertelnym zwarciu. Tymczasem Hitler znalazł sobie za wschodnią granicą Polski nie przeciwnika, ale sojusznika. Oczywiście, całą rzecz wysondowano i przygotowano wcześniej, bardzo dyskretnie. I trudno było uwierzyć w możliwość dogadania się dwóch równie nieprzejednanych wrogów, którzy dopiero co próbowali się w Hiszpanii. A jednak nie brakowało przecież zastanawiających znaków na niebie i ziemi. Oto Hitler, od pewnego czasu wbrew swojej namiętnej partyjnej i prywatnej potrzebie zaprzestał wściekłych ataków na komunizm. A nawet, na to doświadczeni komentatorzy zwrócili podobno uwagę, podczas ostatniego przed wojną przyjęcia z okazji noworocznej dla korpusu dyplomatycznego, jak gdyby nigdy nic po raz pierwszy rozmawiał z radzieckim ambasadorem. Mogło też dawać do myślenia, czemu to prasa hitlerowska i stalinowska, posłuszne aktualnej linii, przestały się łączyć. W sumie potrafił Hitler na prawie dwa lata, aż do 22 czerwca 1941 r., zawiesić swój antybolszewizm. Nic dziwnego zatem, że stać było Hitlera na gesty, a tym bardziej słowa, które mogły się spodobać Polakom, potencjalnym, jak mu się zdawało, sojusznikom. Ideowo pakt, a właściwie sojusz Hitlera ze Stalinem, nawet taktyczny, zdawał się trudny do wyobrażenia, ale z uwagi na tradycje historyczne, czemu nie. Chodziło o kłopotliwy Polskę, która znów wcisnęła się między dwa wielkie narody, potężne państwa, Niemcy i Rosję. Otóż istniał wypróbowany przez ponad sto lat sposób rozwiązywania przekłętego polskiego problemu na drodze zaborów. Tradycja rosyjsko-niemiecka z towarzyszeniem Austrii. Tym razem, po Anschlussie - Austrii zjednoczonej z Niemcami. Czyli można przyjąć, że w 1939 r. zaborcy stawili się w komplecie. I gdyby Hitler ze Stalinem mieli więcej szacunku dla tradycji, mogliby obrać za patronkę swojej osobliwej rozbiorowej przyjaźni skromną szczecińską księżniczkę, która jako wielka rosyjska monarchini Katarzyna II porozumiała się ostatecznie w polskiej sprawie z królem Prus. Nie zapominając o Austrii, żeby też wzięła sobie należną część. W wojsku rosyjskim istniała rywalizacja między wyższymi oficerami o cudzoziemskich (głównie niemieckich) i czysto rosyjskich nazwiskach: kto jest lepszym patriotą państwa i tronu. Czyli istniała też jakaś naturalna niemiecko-rosyjska wspólnota w granicach tego samego imperium. Do najwierniejszych żołnierzy imperium należeli także Niemcy bałtyccy. Baron Wrangel i baron Ungern von Sternberg do końca walczyli z bolszewikami przekonani, mylnie

jak się okazało, że zwycięstwo rewolucji oznacza kres rosyjskiej potęgi. Tymczasem już w 1922 r. w Rapallo, zaraz po krwawym zwycięstwie bolszewików, weimarskim Niemcom porozumienie z bolszewicką Rosją nie wydało się niczym zdrożnym, przeciwnie, obopólnie korzystnym. Na wszelki wypadek - wobec odrodzonej Polski, rozpychającej się znów między Rosją a Niemcami. I wkrótce niemieccy wojskowi skrzepowani traktatami o rozbrojeniu mogli, byłe dyskretnie, korzystać z gościnnych rosyjskich poligonów. Z lotniczego - w Lipecku. Na poligonie Kama przeprowadzano ćwiczenia z bronią pancerną. W Saratowie odbywały się zajęcia artyleryjskie. Wszystko to koordynowało, nieoficjalne oczywiście, biuro Reichswehry w Moskwie. Można było brać udział w ćwiczeniach, wspólnie roztrząsać nowości techniczno-taktyczne - z pewnością nie spodobałoby się to obserwatorom zwycięskiej Ententy. Nie wiem, kiedy przetłumaczono na rosyjski hymn SA „Die Strasse frei den braunen Batalionen”, bo w pierwszych latach, po objęciu władzy przez Hitlera, wobec komunistycznej Rosji obowiązywała oficjalna śmiertelna niemal wrogość. W każdym razie po rosyjsku pieśń brzmiała także mocno, może tylko bardziej melodyjnie, na glosy: „Otkrytyj put' dla naszych batalionow”. I niewykluczone, że śpiewano ją wspólnie gdzieś na terenie Polski jeszcze w 1939 r., np. 22 września w Brześciu nad Bugiem, gdzie miała miejsce zwycięska sojusznicza defilada, piechota i czołgi, Wehrmacht i Armia Czerwona. A na trybunie - generał Heinz Guderian, wybitny teoretyk, ale i wielki praktyk nowoczesnego użycia wojsk pancernych: polowy mundur, na szyi żelazny krzyż, jeszcze z poprzedniej wojny. Obok kombryg Siemion Moisiejewicz Kriwoszejn w skromnej komisarzkiej kurtce, czerwonoarmista od 1918 roku, uczestnik walk w Hiszpanii i w Mandżurii. W Brześciu na ręce Guderiana złożył III Rzeszy życzenia pokonania kapitalistycznej Anglii. A po tym zwycięstwie zapraszał do Moskwy. Kiedy wszystko się zmieniło, nie poniósł żadnej konsekwencji za swoją gościnność (która była w owym momencie politycznie słuszna). Przeciwnie, już jako generał-major walczył z Niemcami na Łuku Kurskim, wziął udział w operacji berlińskiej. Ale spośród stalinowskiej generalicji tylko on stał na trybunie obok hitlerowskiego asa wojsk pancernych. A umarł własną śmiercią na zasłużonej emeryturze. Otóż nie doszłoby do tamtej defilady, a także do parady Wehrmachtu przed Hitlerem i generalicją w zdobytej Warszawie 5 X 1939 r... Z jej okazji Aleje Ujazdowskie udekorowano flagami Trzeciej Rzeszy; czarnobrunatne płachty i nieopadłe jeszcze liście zakrywały najbliższe ruiny. Jeszcze w styczniu podświetlone reflektorami swastyki zdobiły pałac Briihla, czyli gmach MSZ, z okazji wizyty Ribbentropa. A kilka lat wcześniej autor przenikliwych reportaży z Niemiec po objęciu władzy przez Hitlera, Antoni Sobański, pisał obiektywnie (sam przyznawał, że snobuje się na obiektywizm): „Flagi ze swastyką widać wszędzie i kolorystycznie wyglądają świetnie. To może najbardziej udana flaga, jaką znam. Jest dekoracyjna w duchu chińsko-japońskim”. Podobne zdanie po klęsce wrześniowej stało się całkowicie nieaktualne: Sobański w tym czasie znajdował się wśród polskich uchodźców wojskowych i cywilnych we Francji i myślę, że może zdziwiłby się, że mógł coś takiego napisać. Nie byłoby zatem tych defilad w Brześciu i w Warszawie i w ogóle całego tragicznego Września: wystarczyło zgodzić się na niemieckie żądania w sprawie Gdańska i eksterytorialnej szosy z koleją w poprzek korytarza. A co byłoby dalej? Tego już się nie dowiemy. Większość politologów historii najnowszej twierdzi, że na tym by się nie skończyło. Że Gdańsk i autostrada nie były wcale takie ważne, bo nastąpiłyby kolejne roszczenia, a w ogóle chodziło Hitlerowi o przystąpienie Polski do paktu antykominternowskiego, celem, w odpowiednim momencie, zaatakowania Rosji. A więc coś w rodzaju politycznego testu. Tak albo nie. Dla Polski, i osobiście dla ministra Becka. Czy ustąpi zatem, zwiąże swój los z

Hitlerem, słowem dokona odważnego wyboru, zaufa Hitlerowi przynajmniej na 25 lat, bo na tyle Fiihrer ofiarował swój sojusz. Czy raczej pozostanie w denerwującym związku sojuszniczym z Francją, gdzie panoszy się pacyfizm, lewica i demokratyczne bezhołowie. A poza tym Francja nie zachowuje się wobec Polski i jej ministra, jak na to zasługują, czyii comme il faut. Anglia nie jest z kolei już tą imperialną Anglią, zresztą Polską się nie interesuje, natomiast Niemcy - jak najbardziej. Traktują Polskę bardzo poważnie, znając jej tradycyjne poczucie zagrożenia od wschodu, które wzmocnił jeszcze antykomunizm. I tu pewności siebie powinno Polsce dodać zwycięstwo 1920 r.

8. Znany, zmarły niedawno historyk Piotr Paweł Wieczorkiewicz od pewnego już czasu ulegał namiętności rewidowania historii najnowszej, przyjemności mówienia o tej historii alternatywnie i niepoprawnie. Już nigdy się nie dowiemy ile było w tym przekonania, ile podejrzewam, również gustowania w prowokacji i skandalu. Otóż Wieczorkiewicz widział przed Polską w trudnej sytuacji 1939 roku obiecującą perspektywę zupełnie innej defilady. O półtora tysiąca kilometrów dalej na wschód. W Moskwie. Tam przed Hitlerem i Rydzem-Śmigłym (zdaje się, że na trybunie honorowej przewidziano również miejsce dla Guderiana), przez Plac Czerwony defilują jednostki polskie i niemieckie razem, zwycięskie. Prawdopodobnie na początek niemiecki paradenmarsch czyli noga wyprostowana do poziomu i idealnie równo zgrane, z pełnego rozmachu uderzenie setek podkutych obcasów o bruk. Był to zresztą popularny także i w Rosji krok defiladowy, który również dziś można podziwiać podczas zmiany warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza u kremłowskiej ściany. Czołgi, samochody pancerne, artyleria, może górą samoloty? Tak jest, niemiecka technika, tak jest, niemiecka potęga. Natomiast kawaleria - polska, chociaż i Wehrmacht wciąż docenia niezawodność trakcji konnej, zwłaszcza na Wschodzie, gdzie bezdroże, błoto i piasek. Na olimpiadach, zwłaszcza tej ostatniej, berlińskiej, na niemieckich jeźdźców posypał się przecież deszcz medali. Kawaleria polska ma jednak historyczny wdzięk, co być może jest komplementem trochę dwuznacznym. Ale tej tradycji należy się uznanie. Odwiedzili Polacy już Moskwę pieszo i konno, nie tak znowu dawno, zaledwie kilka pokoleń wstecz, z Napoleonem. Niestety, brakowało tam czasu i nastroju do defilad. W mieście wybuchły pożary, zaczął się tragiczny odwrót. A w ogóle z Hitlerem byłaby to już trzecia zbrojna wizyta Polaków na Kremlu. Ta pierwsza, właściwie pobyt, krótka dwuletnia okupacja skończyła się w 1612 roku, równo 200 lat przed wyprawą Napoleona. Więc, puszczając dalej cugle wyobraźni (wszak mówimy o kawalerii), w kierunku wskazanym przez profesora Wieczorkiewicza, można by się zastanowić, który to pułk miałby dostąpić defiladowego zaszczytu. Ten zasłużony w roku 1920, o najdłuższym szlaku bojowym, czy inny, który odniósł wówczas szczególnie błyskotliwe zwycięstwo. Ewentualnie kryterium geograficzno-polityczna. Wtedy pasowałby pułk znad wschodniej granicy, np. IV Pułk Ułanów Zaniemeńskich, z biało-niebieskimi proporczykami. A może, patrząc w przeciwną stronę - Pułk Ułanów Poznańskich, dla których polsko-niemiecka defilada byłaby okazją, żeby powalczyć z wzajemnymi stereotypami. Chyba jednak należałoby uwzględnić bieżące bojowe zasługi w dopiero co zakończonej antykominternowsko-antykomunistycznej zwycięskiej kampanii. A co z polsko-niemieckim braterstwem broni, scementowanym wspólnie przelaną krwią (jak dziwnie te słowa dźwięczą, prawda?), bo niewątpliwie przelaną? W każdym razie na defiladzie w Moskwie, którą zalecił profesor Wieczorkiewicz, mogłaby Polskę reprezentować kawaleria, czyli ten rodzaj wojska, który Polacy najbardziej kochają. Może jeszcze jakiś batalion legionowego pułku piechoty, a to ze względu na specjalną atencję, jaką Niemcy hitlerowskie darzyły pamięć marszałka Piłsudskiego. Ten szczególny stosunek Trzeciej Rzeszy do Piłsudskiego, a zwłaszcza pamięci o nim, co już przychodziło łatwiej, był dla Polski trochę krępujący. Oczywiście nie brakowało tutaj z niemieckiej strony politycznej kalkulacji: postać naszego marszałka drażniła wszystkich sąsiadów Polski, i nie bez powodu. Premiera Litwy Voldemarasa, Piłsudski w Genewie zapytał wprost: Pokój czy wojna? Związek Radziecki został przez Piłsudskiego, jako Wódza Naczelnego, pokonany. Czechosłowacji nie znosił, mając w pamięci, że wkroczyła na Zaolzie, korzystając z Wojny 1920 r. Francja za Piłsudskim i piłsudczykami też nie przepadała. I wzajemnie. Uważano w Warszawie, że Francuzi przypisują sobie zbyt

wielką rolę w zwycięstwie nad bolszewikami. Słowem, tylko Niemcy, nowe hitlerowskie Niemcy, starały się docenić polskiego bohatera. Szczerze, czy nieszczerze, to inna sprawa, ale takie gesty musiały się podobać. Niechby pochlebstwa, ale zasłużone. Nie do przyjęcia? Szkoda, że nie od Francuzów i Anglików? No trudno! Od historycznego wroga, ale jednak, właściwie dlaczego nie. Na przykład taki miły gest: przysłano z Magdeburga do Warszawy drewniany domek, w którym w 1918 r. więziono Piłsudskiego. Satisfakcję mógł odczuwać np. minister Beck, który miał w gabinecie popiersie marszałka, a nad głową marmurowy zegar, którego unieruchomione wskazówki wskazywały godzinę śmierci Piłsudskiego. Beck zwierzał się zresztą, że kiedy miał polityczne problemy, zastanawiał się jakie byłoby rozstrzygnięcie marszałka. I Beck, podobnie jak jego mistrz, ojciec duchowy Piłsudski, był - jak to się mówi - decyzyjny. Brakowało mu politycznego taktu, wysłał na przykład na Litwę ultimatum w dniu urodzin marszałka i uważał to za gustowny pomysł. Nawet zamiar wojny prewencyjnej przypisywany Piłsudskiemu, a w każdym razie ostrą polską reakcją w kilka tygodni po dojściu Hitlera do władzy, żeby sprawdzić niebezpiecznego podobno kanclerza, co nie pogorszyło wzajemnych stosunków, przeciwnie zawarto paktu o nieagresji. Obok wyrachowania politycznego wolno się chyba dopatrzeć w tym respektu, jaki Hitler żywił dla Piłsudskiego, a nawet zauważmy trochę bluźnierczo, że mógł się Hitlerowi Piłsudski spodobać jako mocny człowiek, który na przykład nie wahał się zafundować swojej opozycji procesowi w Brześciu, obozu w Berezie Kartuskiej. W każdym razie przykro jest oglądać zdjęcie, na którym obok naszego marszałka, postarzałego już, schorowanego, z szablą i pod wąsem, stoi nikczemnej postaci diabeł wcielony dr Goebbels. Na zdjęciu są też minister Beck i ambasador Moltke, ale ich obecność jest całkowicie zrozumiała. A Goebbels na marginesie swoich oficjalnych obowiązków wygłosił wtedy odczyt w Resursie Obywatelskiej. Zapewne o niemieckich przemianach. I już pięć lat później, 6 września 1939 r. inny niemiecki uczonej Oberturmbahnführer dr Bruno Müller, zaprosił wszystkich profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego na swój odczyt. Miał mówić na temat polityki Trzeciej Rzeszy wobec uniwersytetów, ale był znacznie mniej elokwentny niż Goebbels. Odczytał po prostu komunikat, że wszyscy obecni są aresztowani. I prosto z auli, zebrani tu w dobrej wierze, ciekawi tematu, choć może się to wydać naiwne, wszak nad Wawelem łopotała już flaga hitlerowska, profesorowie, którym Trzecia Rzesza osobiście pomieszała się z CK Austrią, pojechali do Sachsenhausen. Śmierć Piłsudskiego, mogło się wydawać, ułatwi Hitlerowi grę z Polską. Z charyzmatycznym marszałkiem byłoby z pewnością sporo problemów. Tym bardziej w Berlinie uczczono tę śmierć. Na mszy żałobnej za duszę wielkiego zmarłego, w katedrze berlińskiej pod wezwaniem św. Jadwigi, zjawił się kanclerz Hitler ze swoimi dostojnikami. Obecni byli między innymi ministrowie spraw zagranicznych von Neurath, wojskowych von Blomberg, propagandy dr Goebbels i sprawiedliwości dr Frank, przyszły generalny gubernator na Wawelu. Przedstawiciele generalicji: generał von Fritsch miał zginąć w 1939 roku pod Warszawą, von Reichenau wyróżnił się w tej kampanii; generał wojsk lotniczych Milch i admirał Raeder odegrali znaczącą rolę w następnych wojennych latach. Watykan był reprezentowany przez przyjaźnie wobec nowych Niemiec nastawionego nuncjusza papieskiego Cesarego Orsenigo. Natomiast mszę żałobną celebrował proboszcz katedry prałat Bernard Lichtenberg, który za publiczne wystąpienia przeciw prześladowaniu Żydów został w 1943 roku aresztowany przez Gestapo i zmarł w drodze do Dachau. Polskimi gośćmi podczas tej podniosłej uroczystości byli generał Tadeusz Kutrzeba, śpiewacy Adam Didur i Jan Kiepura, boska Pola Negri i poseł, a wkrótce ambasador Józef Lipski. W warszawskich uroczystościach

pogrzebowych uczestniczył Hermann Góring, druga osoba w państwie Hitlera. W mundurze generała wojsk lotniczych, z buławą i przy orderach, przez cztery godziny kroczył Goring za trumną Marszałka, złożoną na armatniej lawecie. To prawda, był niegdyś Goring dobrym alpinistą, bojowym pilotem, ale teraz ważył już około 120 kilo. A potem jeszcze Kraków, uroczystości krótsze, ale należało wspiąć się na Wawel, gdzie złożono ciało Piłsudskiego w królewskiej krypcie. W pogrzebie uczestniczyli też: sędziwy marszałek Petain w błękitnym płaszczu i premier Pierre Laval, przyszły szef Rządu Vichy, z którym Góring miał okazję porozmawiać. Inne państwa nie znalazły się tak elegancko. Anglia przysłała jakiegoś wysłużonego feldmarszałka Cavana. Czesi - delegację kilkunastu oficerów z dwoma generałami, co nie bardzo wiadomo dlaczego zostało uznane za nietakt w złym guście. Ale najgorzej znaleźli się Amerykanie. Ponieważ poseł amerykański, pan Cudaby rodem z Bostonu, miał już wcześniej wykupiony bilet okrętowy, ograniczył się do przesłania noty kondolencyjnej i spokojnie odpłynął. Ten afront nie przeszkodził zresztą jego autorowi w dalszej karierze dyplomatycznej: był potem jeszcze posłem swej ojczyzny w Dublinie i ambasadorem w Brukseli. Wojna z Polską nie przeszkodziła III Rzeszy w manifestowaniu szacunku dla Piłsudskiego. Natychmiast po zajęciu Krakowa dowódca korpusu, gen. Kienitz wystawił przed grobem Piłsudskiego na Wawelu uroczystą wartę. A w parę dni później zjawił się tam, ze stosownym wieńcem, dowódca 14 armii gen. List. Istniała też niezmienną przez jakiś okupacyjny czas ulica Piłsudskiego, Piłsudski Strasse. Byłoby całkiem logiczne, że reżyserując moskiewską defiladę, Niemcy powierzyliby część kawaleryjską Polakom, mając ugruntowane przekonanie o polskich zamiłowaniach do wojskowego fechtunku i blichtru, napoleońskiej tradycji. Prezentując jednocześnie swoje nowoczesne wojsko, pancerne i zmotoryzowane, daliby Niemcy do poznania, do przemyślenia, jaki jest rzeczywisty układ sił między sygnatariuszami paktu antykominternowskiego w działaniu. I jaka przyszłość, jeśli w ogóle jakaś rysuje się przed takim aliansem. O czym profesor Wieczorkiewicz już nie spekulował. Porwany swoim autorskim, przynajmniej, pomysłem defilady na Placu Czerwonym. Czy według profesora, wróćmy do głównego pytania, należało ustąpić Hitlerowi w sprawie Gdańska i korytarza? Póki co - ustąpić tylko w sprawie szosy przez korytarz. No oczywiście należało i jeszcze się opłacało, bagatela, uznać ideę współpracy z Hitlerem za sensowną, zaufać Fuhrerowi. A więc ustąpić, mało tego, ustąpić z przekonaniem, pozytywnym, uczciwie, choć w danym kontekście to słowo może wydać się osobliwe. Ustąpić nie ze strachu przed wojną, bo wojna czekała Polskę, tyle, że według tej opcji w innym kierunku, nie dla trzeźwej kalkulacji w oparciu o dane polskiego wywiadu, który na próżno próbował uświadomić polskiemu rządowi, dowództwu, jaka jest różnica potencjału wojskowego Niemiec i Polski. Ale z przekonaniem, bo może to właśnie świadomość niemieckiej potęgi powinna była zachęcić Polskę do współpracy z Hitlerem?

9. Wróćmy do historii, która naprawdę miała miejsce, a była dla jej świadków i uczestników równie nieprzewidywalna. Bo istotnie przedeflowali Polacy przez Plac Czerwony, ale dopiero w 1945 r. u boku Armii Czerwonej. Otwierał Paradę Zwycięstwa, na białym koniu, marszałek Żuków, zdobywca Berlina, a swoją nienaganną kawaleryjską sylwetkę zawdzięczał służbie w rosyjskiej kawalerii jeszcze przed rewolucją. Przed trybunę, niejako pod nogi Stalinowi, rzucono zdobyczne niemieckie chorągwie. W tej defiladzie uczestniczył kombinowany polski batalion, a prowadził go przedwojenny zawodowy oficer, uczestnik Kampanii Wrześniowej i jeniec niemieckich oflagów, kapitan Józef Kuropieska. Polacy szli przed Generalissimusem, jego marszałkami i towarzyszymi partyjnymi, których pozostawił przy życiu. Na komendę przybijali obcasami, kierowali wzrok w stronę trybuny, oficerowie salutowali po polsku, dwoma palcami. Chociaż wcześniej był 17 września, Katyń, obojętność wobec tragedii Powstania, prześladowania akowców. Nie tyle zdobycie, jak to figuruje w tytule powieści Miłosza, ile zagarniecie władzy dla posłusznych popleczników nowego ludowego państwa. Z pewnością wielu polskich uczestników defilady orientowało się, jaka jest przeszłość, obecna i przyszła polska sytuacja. Ale zwasalizowana ojczyzna w końcu wybiła się na niepodległość. Defilada przed Hitlerem na Placu Czerwonym skończyłaby się nieporównanie gorzej. Trzecia Rzesza musiała przegrać, bo miała pomysł tylko na niemiecki, szerzej, po rasistowsku, nordycki świat. A innym rasom czy narodom mogła zaproponować różne stopnie niewolnictwa. Więc przymierze z Hitlerem skończyłoby się dla Polski nie tylko klęską, ale i hańbą współdziałania w walce z całą cywilizacją europejską, do której Polacy przecież się poczuli. A wiec Beck miał rację? Odkąd zaczął się wyraźniej opierać niemieckim awansom i w końcu zdecydowanie honorowo się postawił? Właśnie dlatego, że za niemieckimi zadaniami stała wcześniej ponawiana propozycja sojuszu. Czyli Gdańsk z autostradą były w gruncie rzeczy jakimś testem i tak też zostały zrozumiane. Z kim mianowicie Polska chce się związać w chwili niebezpiecznej dla europejskiego, czyli światowego pokoju? Zgodnie z tak zwanym testamentem Piłsudskiego, w grę jako sojusznik nie wchodził żaden z potężnych sąsiadów. Każdy z nich obok siły dysponował jeszcze ideologią nie do przyjęcia dla zdrowo, tzn. w sposób zrównoważony, cywilizowany, myślącego człowieka. I Beck postawił na sojusze - jak mu potem wytykano - egzotyczne. Nie takie egzotyczne znowu, przynajmniej z państwami demokratycznymi, niezależnie od pretensji, jakie można mieć do demokracji, zwłaszcza demokracji w działaniu. Myślę, że Polska drogo zapłaciłaby za tamtą defiladę moskiewską wspólną z Niemcami. Gdyby w ogóle do niej doszło. Ale nie doszło, na szczęście. Zresztą Niemcy i tak musiały wojnę przegrać, bo ich plan polegał na podporządkowaniu sobie całego świata. Co się jeszcze nikomu nie udało. I Polska dzieliłaby z Niemcami klęskę w niesławie. Ale świat nie może obyć się bez Niemiec. Po obu wielkich wojnach, które Niemcy wywołały, karcono je, a potem troszczono się, aby doszły do równowagi. I Rosja, podobnie jak Niemcy, do końca świata musi istnieć, budząc strach i podziw, nadzieję czy potępienie. Natomiast Polska, co wykazały zabory, panowie Mołotow z Ribbentropem, a także Jałta, wcale nie musi być dla świata niepodległa. Mogła zostać podzielona między ościenne mocarstwa, czyli zniknąć z mapy Europy. Na ponad sto lat. Stanowiąc obszar, na którym spotykają się tymczasowe granice, ścierają się strefy wpływów, jak to się stało we wrześniu 1939 r., albo egzystować w zależnej pół-niepodległości, co zdarzyło się Polsce po ostatniej wojnie. Obawiam się, że po nieuchronnym rozpadzie niemieckiego imperium (jeśliby takie zdążyło nawet powstać) nie znalazłby się polityk równie potężny i wspaniałomyślny jak Wilson, co by upomniał się o wskrzeszenie kłopotliwego państwa polskiego, któremu - to

prawda - nie sprzyjała historia, ale samo też było sobie winne. I oto właśnie nie potrafiło się odpowiednio zachować, wiążąc się z hitlerowskimi Niemcami. Ale ów związek to, dzięki Bogu, tylko perwersyjna, alternatywna fikcja historyczna. Mimo że od 1 września 1939 r., czyli najdłużej ze wszystkich, Polska znajdowała się w stanie wojny z Trzecią Rzeszą, a Związek Radziecki dopiero od 22 czerwca 1941 i to Hitler zbrojnie zerwał tę niemal dwuletnią przyjaźń, mimo że Polacy bili się jak najlepiej potrafili na wszystkich frontach, mimo państwa podziemnego, ruchu oporu, Powstania Warszawskiego, cierpień ludności - mimo to propaganda radziecka oraz jej sojusznicy uzyskali znaczne sukcesy w obrzydzeniu sprawy polskiej, polskich pretensji, przekonując w tej kwestii znaczną część opinii światowej, co zresztą było dla świata wygodne. Że Armia Krajowa niewiele znaczy wojskowo (to akurat była prawda), a zajmuje się głównie mordowaniem komunistów. Stoi z bronią u nogi. Zbrojnie przeszkadza Armii Czerwonej w ofiarnym wypełnianiu alianckiego zobowiązania, aby dobić faszystowskiego zwierza w jego legowisku. Czyli, że obiektywnie, nie wykluczając tak do końca elementów subiektywnych, AK działa na korzyść Hitlera. A przykładem może być, według tej oszczerczej propagandy, prowokacyjne, dywersyjne bezpodstawne imputowanie Związkowi Radzieckiemu odpowiedzialności za mord katyński. I to kiedy Armia Czerwona wyzwala okupowane narody, a rząd radziecki obiecuje ustanowienie demokratycznych dobrosąsiedzkich stosunków ojczyźnie Piłsudskiego, polityka, który nie miał w Europie opinii demokracji. No i teraz wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby sprawa polska w oczach zwycięskiej koalicji, gdybyśmy choć na chwilę znaleźli się w jednym obozie z Hitlerem i defilowali po Moskwie, gdzie pamięć o czasach smuty i polskiej okupacji Kremla żyje od czterystu lat. Dla Polski kilkuletnie, więcej niż poprawne stosunki z Niemcami były niebezpiecznym interesem. Dla Niemiec sprawa przedstawiała się interesująco. Zapewne wśród fachowców mogły pojawić się różnice zdań, czy milionową co najmniej polską armię, dobry gatunek armatniego mięsa należałoby podciągnąć do niemieckich standardów organizacyjnych? Chyba jednak nie do końca. W nazistowskiej, a wcześniej pruskiej mentalności zakodowane było poczucie wyższości wobec Słowian. Czyli na wszelki wypadek i dla zasady chcieli się trzymać ludzi rasowo niższych, choć doraźnie użytecznych, na stosowny dystans, w niższości modernizacyjnej. Ale niewykluczone, że zaplecze propagandowe Wehrmachtu (jakaś sekcja historyczno-literacka) zainteresowałaby się „Bartkiem Zwycięzcą”. Ów sienkiewiczowski bohater któregoś z pułków poznańskich w armii pruskiej, który tak dzielnie tłukł Francuzów w 1870 r., przy zręcznym retuszu byłby ogromnie przekonujący jako pogromca bolszewików w rytm polskiej piosenki „Bolszewika goń goń goń”. Oczywiście współpraca wojskowa polsko-niemiecka, mimo istnienia wspólnego kominternowskiego wroga, byłaby niełatwa również ze względu na zaszłości historyczne. Rzecz jasna Polacy oraz inne słowiańskie plemiona w granicach polskiego państwa (Żydzi to osobny problem) miały w niemieckiej nordyckiej przeszłości miejsce, które Adolf Hitler już im był wyznaczył. Ale przecież mogły być wykorzystane instrumentalnie. Co stanowiło dla nich szansę, rodzaj łaski historycznej, a może w indywidualnych wypadkach perspektywę awansu. Czy rozpowszechniony w Polsce antysemityzm nie mógłby tu stanowić jakiejś płaszczyzny porozumienia? Albo w sferach oficerskich tradycje wojskowe, sztyk, sport i elegancja? A jednak nie da się wykluczyć, że Hitler, przyglądając się Polsce, czyniąc oczywiście podstępne awanse, nie mógł się tak zupełnie pozbyć jakiejś swojej wobec Polski, choćby przejściowej, interesownej słabości, bo pewne rzeczy mogły się Hitlerowi w Polsce podobać. Nie tylko Piłsudski jako pogromca bolszewików, antykomunista, który rozstrzygnął różnice zdań między

swoimi wojskowymi podczas specjalnie zwołanego posiedzenia tzw. Laboratorium. Po myśli Hitlera. Pytanie brzmiało: kto jest większym zagrożeniem dla Polski: Rosja czy Niemcy? Zdania były podzielone: pięć do pięciu. Piłsudski zdecydował, że Rosja. Jest i będzie. O czym Hitler musiał wiedzieć. Wyobrażam sobie, że gdyby jakieś wysoko kwalifikowane służby propagandowe podległe Goebbelsowi przygotowywały dla Hitlera wyciągi z polskich gazet, coś w rodzaju prasówki od czasu do czasu, to Hitler mógłby z przyjemnością smakować antysemityczne cytaty. Na przestrzeni całego trwania II RP aż po jej ostatnie dni, faszystowskie „Prosto z Mostu” jeszcze latem 1939 r. (inna rzecz, że Hitler nie miał już wtedy na nic czasu) pisało, że głównymi wrogami Polski są właśnie on, Hitler i cztery miliony polskich Żydów. Gdyby Hitler miał poczucie humoru (na ten temat nic nie wiadomo, z pewnością Stalin przewyższał tu Hitlera) uśmiechnąłby się może pod swoim słynnym, chaplinowskim wąsem. Ciekawy był też dalszy wywód artykułu o tym, że jeszcze większym niebezpieczeństwem jest dla narodu polskiego postawa tych Polek, które hołdują zasadzie „bez wstydu i bez dzieci”. Kilkadziesiąt lat później, tzn. dziś, podobną ideologię określa się z niektórych ambon jako złowrogie „Róbta co chceta”. W 1939 r., w przededniu wojny, rozważania moralno-demograficzne uzupełniono jeszcze aktualną myślą, że mniej polskich dzieci oznacza mniej polskich żołnierzy. W innym numerze „Prosto z Mostu”, z tegoż roku wojny, znajdziemy ostrzeżenie przed Żydami, którzy chcą koniunkturalnie sprzymierzyć się z Polską przeciw Hitlerowi. Tu znów mógłby się Hitler zadumać, ale podobnie, jak poczucie humoru, refleksje chyba nie były jego silną stroną. Zadumać się jak to się dzieje, że ludzie tak czujni wobec żydowskiego niebezpieczeństwa, prawdziwi Polacy oraz ideowi Niemcy staną przeciwko sobie. Zamiast wspólnie uderzyć w żydokomunę. Że oto nacjonalizm (tu już chyba dokonuję manipulacji intelektualnej z Hitlerem), to piekielnie ludzkie uczucie, które jest nacechowane zdrowym egoizmem, wyklucza wspólne działanie. Ale trudno, najważniejsze są Niemcy, Niemcy ponad wszystko.

10. To prawda. Polska też martwiła się, co ze swoimi Żydami zrobić; były różne egzotyczne pomysły: Nikaragua albo Madagaskar. Pamiętajmy, że przy oficjalnej i spontanicznej, hitlerowskiej brutalności wobec Żydów chodziło o coś podobnego, tzn. żeby się ich pozbyć, póki co niekoniecznie w jakiś ostateczny sposób. Przy czym koncepcja niemiecka polegała również na zagarnięciu, w imię rasistowskiej sprawiedliwości, całego żydowskiego mienia. I tak właśnie postąpiono, przy okazji na złość Polsce (a było to już w 1939 r.) z Żydami mieszkającymi w Niemczech, którzy mieli polskie obywatelstwo. Wszystkich, albo prawie, tych, których udało się wyłapać, w liczbie prawie dziesięciu tysięcy zebrano, wywieziono i pozostawiono na ziemi niczyjej naprzeciw polskiego granicznego miasteczka Zbąszyń. I Polska otworzyła granicę dla swoich bądź co bądź obywateli. Rozlokowano ich, czy właściwie przejściowo pół-internowano w miasteczku. Warunki były trudne. Losem uchodźców zajęły się organizacje żydowskie. Wśród polskich ludzi kultury zorganizowano zbiórkę pieniężną. Wzięli w niej udział między innymi Jerzy Stempowski, Aleksander Zelwerowicz, Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska, Maria Kuncewiczowa, Stanisław Ignacy Witkiewicz. Młody pisarz, który również ofiarował pieniądze dla uchodźców, Jerzy Andrzejewski, został laureatem Nagrody Młodych „Wiadomości Literackich”. Oba te fakty powiązało za sobą „Prosto z Mostu”, uznając gest pisarza za wielce interesowny dowód sprytu literackiego. Z hitlerowskiego punktu widzenia, Polska, zmagając się z problemem żydowskim, posuwała się jednak za daleko, organizując na przykład w Centrum Wyszkozenia Piechoty w Rembertowie kursy wojskowe dla Żydów, emigrantów do Palestyny. Ale z pewnością nastroje antysemickie w Polsce odpowiadały nazistowskiemu gustom. Także ze względów taktycznych. Odwracały uwagę od tego, co się działo w Niemczech, dowodziły, że problem żydowski jest uniwersalny i być może jego twarde postawienie zostanie kiedyś poczytane Niemcom za europejską zasługę. Zbąszyń, podobnie jak w kilka miesięcy później Gdańsk z autostradą, były próbą dla Polski. Przede wszystkim moralną, ale bardzo niektórych denerwującą. Z czego zdaje sprawę Józef Mackiewicz, podówczas dziennikarz wileńskiego „Słowa”. Czytamy jego reportaże ze Zbąszyna po 70 latach z wielkim przygnębieniem. Cóż wymagać od faszyzującego „Prosto z Mostu”, skoro w konserwatywnym wileńskim dzienniku można wyczytać słowa pełne irytacji, właściwie i wobec Niemców, i wobec Żydów, bo Niemcy sprawili nam kłopot. A co do Żydów trudno jest o empatię. Mackiewicz nie bardzo umie zmusić się do niej, pisząc o pięciu tysiącach „rozszwargotanych w Zbąszynie Żydów”. Dalej denerwuje się Mackiewicz: „Wszędzie leżą, stoją, siedzą Żydzi. Wymachują rękami albo trzymają je w kieszeni. Patrzą na śnieg za oknem albo biegną czegoś po krętych schodach, dłubią w nosie, ziewają, śmieją i ciągle się kłóca”. Dlatego publicystyczny komentarz: „W dobie głoszonych rzekomo oficjalnych haseł o konieczności odżyczenia Polski i zorganizowania emigracji Żydów polskich nic w tym kierunku nie zostało zrobione, natomiast przeciwnie: rozmieszczono po miastach i miasteczkach tej Polski jeszcze pięć tysięcy Żydów składających się z elementu dla Polski obcego, nie władającego językiem polskim elementu, który ze względu na swe nastawienie psychiczne, jak i nędzę materialną traktowany może być wyłącznie jako uciążliwy i niepożądany.” I właśnie to moralne pytanie, z którym zmaga się Mackiewicz: „Co by było, gdybyśmy mogli tych Żydów nie przyjąć? Czy należałoby ich wtedy wpuścić, czy też również jak Niemcy ustawić karabiny maszynowe, wyszczerzyć bagnety na granicy i powiedzieć: Ani kroku! Kto przejdzie będzie rozstrzelany albo przekłuty! Dzieci, starcy, kobiety? ...A przecież taka chwila była, taką chwilę zainscenizowali po swojej stronie Niemcy. A Polacy? Nie, nie, proszę panów! To nie żaden łzawy humanitaryzm, ani ukryty filosemityzm. Jeżeli już nawet odrzucimy przykazania

Chrytusowe, to po prostu zdrowy rozsądek. Strzelać do nich nie było podobna! - Polska przyjęła tych ludzi i zrobiła dobrze." Przynajmniej tyle. Ale chwilami giętki i jędrny język Mackiewicza robi się plugawy: to „odżydzanie” zupełnie jak „odszuczanie”. I ta irytacja, że Żydzi „przesączają się” do Polski, a przecież nic z Polską nie mają wspólnego prócz paszportu. Nasz reporter jakby nie rozumie, że ci ludzie szukają w Polsce po prostu ratunku, być może tylko w danym momencie, chwilowo, bo większość z nich pojedzie, co powinno uspokoić Mackiewicza, do bezpieczniejszego kraju. I nie odnosząc się do sprawy wyroku śmierci, który na Józefa Mackiewicza wydała AK, do jego artykułów w gadzinowym „Gońcu Wileńskim”, cytowane reportaże ze Zbąszyna mówią same za siebie. Z międzywojennej prasy polskiej dałoby się bez trudu ułożyć prawdziwą czarną księgę na okoliczność polskiego antysemityzmu. Ale nie ma się co tym ekscytować, chociaż fakt, że Polacy nie byli tu w Europie wyjątkowi, nie jest żadnym pocieszeniem. A jednak może dałoby się powiedzieć, że polskie „nie” Hitlerowi, jakkolwiek do niego doszło, wypowiedziane nieoczekiwanie i w ostatniej chwili, „nie”, które kosztowało narodową klęskę, upadek państwa, klęskę, w której Polska została pozostawiona samej sobie, że ta ryzykowna świadoma decyzja podjęta w fatalnej sytuacji wojskowego okrążenia i egzotycznych praktycznie sojuszy okazała się, no, przyjmijmy że była, protestem nie tylko przeciwko zaborczej, również zbrodniczej ideologii, której ostateczną konsekwencją była Zagłada.

11. Więc może Hitler ze swojego hitlerowskiego punktu widzenia miał rację, że Polacy nie interesowali go jako ewentualni partnerzy ideowi? Nie mieli na to szans? Całe szczęście. Być może rzeczywiście każdy wściekły nacjonalizm jest ze swojej natury zaczepno-odporny, czyli samoograniczony. Na to zresztą liczyła Europa, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że nazizm to najwyższe, bo dopełnione rasizmem stadium nacjonalizmu, oznacza wojnę, czyli podboje. Skoro nie wystarcza mu przewodzić. Wymaga posłuchu na rozkaz i to jeszcze posłuchu w poczuciu niższości. Im bliżej wojny, tym bardziej słabły w Polsce prohitlerowskie sympatie, co niestety wcale nie było równoznaczne z wyciszeniem antysemityzmu. Może nie tyle sympatie, ile zaciekawienie, wymiana doświadczeń w walce z komunizmem, który w Polsce nazywano bolszewizmem. A już całkiem potocznie - żydokomuną. Co do Hitlera, miało się okazać, że nie liczył nigdy na polskich faszystów, raczej już na państwo polskie, póki istniało i można było w europejskich grach politycznych wykorzystać jego mocarstwowe ambicje, o których Hitler doskonale wiedział, że były złudzeniem. No i to wojsko polskie przydałoby się Hitlerowi w wojnie z bolszewicką Rosją. Kto wie, może z odwołaniem się do Piłsudskiego, natomiast obce były na pewno kanclerzowi, Fuhrerowi, polskie uroki. Polska gościnność, kuchnia, konie, kobiety, kwiaty, bale i polowania. Wolny od tych uroków życia, również z tej wolności czerpał, mówiąc językiem wagnerowskim - moc. Podobnie jak wielu cyników fanatyków (nie ma tu sprzeczności) ascetycznych, są tacy, dyktatorów i tyranów, z którymi jest problem spiskowy, bo oni nie dadzą się zwabić na schadzki, jak Lorenzo di Medici, którego nagiego i bezbronnego w oczekiwaniu grzesznej rozkoszy zabił nieudacznik i niewdzięcznik Lorenzaccio, posiłkowany przez zawodowego mordercę. Stanowczo nie pasował Hitler do barokowej wizji Viscontiego ze „Zmierzchu Bogów”. Trudno wyobrazić sobie Hitlera w takiej sytuacji, zresztą surowy wojskowy zamach na niego też się nie powiódł. Dla władców podobnego typu całkowicie wystarczającą satysfakcją i nagrodą jest sama władza nad ludźmi, wszechwładza jako taka. Czymże są wobec niej ulotne zmysłowe przyjemności, do władzy przypisane? Nic dziwnego, że gruby, odważny i ekscentryczny marszałek Göring bał się Hitlera i chyba tylko Hitlera na tym świecie, bo innego świata z pewnością nie brał pod uwagę. Trochę tak jak Danton bał się Robespierre'a, i słusznie, jak się okazało. Może nie do końca ma rację Hanna Arendt o banalności zła. Zło w tej skali nie może być banalne. Ale to przecież nie oznacza, że ma mieć jakiś perwersyjny urok, który jeśli chodzi o przywódców hitlerowskich pasował chyba tylko do Göringa i częściowo do Goebbelsa. Hitlera urządzało politycznie, żeby Göring, nie tylko z okazji tak smutnej i wyjątkowej jak pogrzeb marszałka Piłsudskiego, ale w swobodnej atmosferze dyplomatyzył z Polakami, a dla snobistycznego warszawskiego high-life'u Göring to był ktoś. Bardziej ktoś, niż niskiego i niepewnego pochodzenia kanclerz Rzeszy. Z jego bladą cerą, śmieszoną grzywką i wąsikami, tymi wąsikami, którym gdzie się równać z wąsikami Piłsudskiego. Toteż kanclerz Hitler prędko stał się wdzięcznym obiektem karykatur i dowcipów. Zresztą przez cały czas trwania paktu o nieagresji nie śpieszył się do Polski. Dopiero kiedy oblężona Warszawa płonąła, ze stanowiska artyleryjskiego przez nożycową lornetę obserwował pożar miasta. Z „oficjalną wizytą” czekał aż do piątego października: z okazji wspomnianej już defilady w alejach Ujazdowskich pamiętał Hitler, aby odwiedzić Belweder, gdzie żył i umarł Józef Piłsudski. Nie był to gest tak dziwny, jak mogłoby się wydawać. Jeszcze na cztery dni przed wybuchem wojny w słynnej monachijskiej gazecie „Simplicissimus” przedstawiono pochlebnie Piłsudskiego w zaświatach. Groźna postać udekorowana chmurami skarży się w podpisie pod rysunkiem, że Polacy tak szybko zapomnieli o jego testamencie. To

znaczy, że nieprzejednana postawa Polski kłóciła się zdaniem artysty z wolą Marszałka, który był za polsko-niemieckim porozumieniem. I jeszcze przez półtora roku po wrzeźni portrety Piłsudskiego będą wisały w szkołach i urzędach. Jakby wciąż dawano Starszemu Panu z Wąsami, wbrew okupacyjnej rzeczywistości, propagandową szansę. Dopiero w połowie maja 1941 r. nakazano wszystko, co wiązało się z Piłsudskim usunąć z miejsc publicznych, a pod koniec roku również konfiskować podczas rewizji w mieszkaniach prywatnych. Piłsudski stał się bowiem symbolem ruchu oporu, walki aż do zwycięstwa. A co do wojny Hitlera ze Stalinem, która za chwilę miała się rozpocząć, można było pomyśleć, że w jakimś sensie powtarza się nadzieja Piłsudskiego z I wojny, kiedy to wrogowie Polski, zaborcy, zaczęli mocować się ze sobą. Wracając do Göringa w okresie przyjaznych, może chwilami nawet oficjalnie przynajmniej więcej niż przyjaznych stosunków polsko-niemieckich, nie było żadnego porównania między nim a wybitnie antypatycznym, wyraźnie antypolskim ministrem von Ribbentropem. Warszawa prędko rozszyfrowała ministra jako nadętego nuworysza. Oczywiście przypadło Ribbentropowi w udziale zgłaszać niemieckie żądania, ale też ważny, bo bezczelny, wydawał się styl, w jakim to czynił. Nieprzypadkowo, zapewne zgodnie ze swoimi predyspozycjami, był obsadzany w takiej roli. Bo Hitler, podobnie jak Stalin, miał dyplomatów na różne okazje. Może między Göringiem a Ribbentropem była jednak mniejsza różnica, niż między Litwinowem i Cziczerinem a Mołotowem. Co do Litwinowa, uważał go Beck za „naszego najgorszego nieprzyjaciela”. Choć to właśnie Litwinow przewodniczył sesji, którą Liga Narodów uczciła pamięć Józefa Piłsudskiego. Już internowany w Braszowie, stolicy Siedmiogrodu, pisząc swoje „komentarze do dyplomatycznej historii wojny 1939 roku”, Beck wraca bez żadnych komentarzy tym razem do swojej wcześniejszej opinii: „Można było sądzić, że specyficzny uraz psychiczny tego człowieka, litwaka z pochodzenia, w stosunku do Polski zniknął z jego odejściem.” A według Becka, który antysemitą nie był (dowodem między innymi wzruszające świadectwo Leopolda Ungera, który jako zwykły student ze Lwowa był przyjmowany u państwa Becków w Rumunii), litwak to najgorszy typ Żyda, w przeciwieństwie do „asymilatorów żydowskich, skrzywdzonych przez ruch eliminacyjny, w ostatnich latach przed wojną 1939 roku”. Czyli skrzywdzonych przez radykalną endecję. A nadzieje powiązane z odejściem Litwinowa reprezentuje dla Becka, już w następnym zdaniu, nowy minister Mołotow. Onże: „Objąwszy tekę, od razu przystąpił do zlikwidowania zaległych drobniejszych spraw i w szybkim tempie doszliśmy do zawarcia korzystnego układu handlowego, rozwijającego bardzo pomyślnie naszą wymianę gospodarczą. W ramach układu ze strony sowieckiej, przewidziany był import do Polski szeregu surowców ważnych pod kątem widzenia wojny”. Jakoś nie zastanawia się Beck, czy owe surowce miały w ogóle szansę przybyć do Polski. Gorzej jeszcze: wspomina, że ambasada sowiecka w Warszawie powtórzyła mu zdanie Mołotowa: „Ja właściwie bardzo dobrze rozumiem ministra Becka.” Najwyraźniej Beck traktuje te słowa jako ważne, warte przytoczenia. Nie pozostaje też dłużny: „Odpowiedziałem, że ja jeszcze dobrze rozumiem Mołotowa.” Można by odnieść wrażenie, że to czarny charakter Trzeciej Rzeszy, von Ribbentrop, musiał jednostronnie z wielkim trudem skłaniać rokującego pokojowe nadzieje Mołotowa do podpisania wiadomego traktatu.

12. Ale cóż to niby miało znaczyć dla warszawskich wyższych, zbliżonych do rządu sfer, że Góring był jednak kimś? Że mógł sprawiać wrażenie kogoś innego na tle najbliższych towarzyszy Hitlera? Po pierwsze, pochodził z junkierskiej rodziny. W porządku, to już stanowiło jakiś punkt odniesienia. Ojciec przyszłego wielkiego łowczego Rzeszy, oficer kawalerii, po wyjściu z wojska piastował, jeszcze przed I wojną, egzotycznie brzmiące stanowiska dyplomatyczne. Konsul generalny na Haiti, minister-rezydent w Afryce Południowo-Zachodniej. W Polsce, której akurat zamarzyły się kolonie, zamorskie koneksje Góringa mogły spotkać się ze zrozumieniem. Matka pochodziła z tzw. prostej rodziny. Był więc Goring owocem romantycznego związku-mezaliansu; z kolei za ojca chrzestnego miał barona Ritter von Epensteina (uwaga! pół-Żyda), co przydawało Góringowi liberalnego uroku. Mimo że w swojej autobiografii wspomina Góring jak to w dzieciństwie szczerzył Żydów psami, jednak wydaje się to wymyślone dla nazistowskiej poprawności politycznej. Wykoncypowane z cynizmem, którego Góringowi nigdy nie brakowało. Już jako dowódca Luftwaffe znalazł sposób, aby zatrzymać w służbie jednego z najlepszych swoich generałów: Hermana Milcha, m.in. organizatora mostu powietrznego dla okrążonej pod Stalingradem armii Paulusa. Miał Góring wtedy powiedzieć, że o tym, kto jest Żydem, on sam decyduje. Przyjęto więc oświadczenie Milcha, że wcale nie jest synem pana Milcha, męża swojej matki, tylko wynikiem jej romansu z czystej krwi Aryjczykiem. Baron von Epenstein władał pięknymi zamkami i w ogóle miłował życie na wysokim poziomie, co chrześniak po nim odziedziczył. Był też aż do śmierci starszego pana Góringa, ojca marszałka, przyjacielem jego matki, słowem ta rodzina miała swoją ludzką tajemnicę. Góring, bohater I wojny, as niemieckiego lotnictwa, lubił strzelać polskie rysie i dziki. Gościnnie w Białowieży, choć miał własny rewir myśliwski, niedaleko stamtąd w Puszczy Romnickiej. Kochał zwierzęta po łowiecku i jako wielki łowczy Rzeszy przyczynił się do ochrony ich praw, oczywiście z myśliwskiego punktu widzenia. „Ten, kto torturuje zwierzę, obraża uczucia narodu niemieckiego” - tak powiedział. Zakazał wiwisekcji, wnyków, pułapek z drutu, trucizny, stosowania sztucznego światła do polowań; kłusownictwo podlegało najsurowszym karom, legalny odstrzał ścisłym regulacjom. Rozporządzeniami Góringa wprowadzano zalesianie i ochronę ginących gatunków. Trudno było nie uwierzyć takiemu potężnemu, jowialnemu, a przy tym pełnemu fantazji człowiekowi, kiedy mówił to, co Polacy chcieli usłyszeć. Mianowicie, że dla Rzeszy polski korytarz (przyjęła się taka nazwa dopiero w słynnej mowie z 5 maja 1939 r.; Beck ostro upomniał się wtedy o województwo pomorskie) nie stanowi żadnego problemu, podobnie jak polskie prawa na obszarze Wolnego Miasta Gdańska. Powtarzał też Góring za Hitlerem, że Niemcy potrzebują silnej Polski i chętnie powtarzano sobie to wyrażenie „silna Polska”, tak mile dźwięczące dla polskiego niepodległego od kilkunastu lat zaledwie ucha. Co korespondowało z myślą Piłsudskiego, że Polska musi być wielka, albo żadna. I nie zastanawiano się, skąd ta nagła niemiecka troska, coś nowego w historii, o polskie interesy. Właśnie Góring zdążył Piłsudskiemu zaproponować całkiem konkretne przymierze przeciw Rosji, a Piłsudski, bardzo już słaby, schorowany ale do końca czujny politycznie, stanowczo odmówił. I tak już miało pozostać do końca II RP, a chyba ostatnią hitlerowską osobistością (jakbyśmy powiedzieli ze ścisłego kierownictwa), która upomniała się o niemiecką współpracę był Heinrich Himmler. W lutym 1939 r. odwiedził generała Kordiana Zamorskiego, naczelnego komendanta policji i powiedział z tej okazji, że policja polska, podobnie jak niemiecka, powinna nie tylko przeciwdziałać przestępczości, ale również walczyć z bolszewizmem. We wspomnieniach przedwojennych dyplomatów przewija się ówczesne ich przekonanie, że z Góringiem dało się bardziej po ludzku, otwarcie

porozmawiać. Pamiętano, że wyraził nie pozbawione pewnej szczerości, bo przecież w Puszczy Białowieskiej czuł się dobrze, ubolewanie, że nie może nic zrobić, żeby załagodzić napięcie między naszymi krajami. Wyglądało, że znajdował się w niełasce u Hitlera, stąd bawił na Riwierze, a sprawy zagraniczne Trzeciej Rzeszy reprezentował jego rywal, ten sztywny, agresywny von Ribbentrop, który, można powiedzieć, mimo ideologicznej przepaści jakoś pasował do Mołotowa, a Mołotow do Ribbentropa, więc może łatwiej podpisywało im się słynny traktat. W Polsce Ludowej ciągle wypominano sanacji polowania, między innymi Góringa, w towarzystwie prezydenta Mościckiego, ale był również Goring i Frau Goring na galowym przedstawieniu „Cyda” w Teatrze Polskim. „W łoży obfita germańska piękność pani marszałkowej, ubrana w lśniąca atłasową suknię w kroju Dyrektoriatu, pelerynę z białego futra, we włosach lśniący diadem, jak wielki kontrast z wiotką sylwetką pani ministrowej Beckowej ubranej w suknię z matowej szarej materii. Obcisły stanik podkreślał szczupłość talii. Tylko naszyjnik ze szmaragdów, całość wytworna w swojej prostocie”. - Tak wspominała po latach, z patriotyczną satysfakcją, Krystyna Krzyżanowska, urzędniczka przedwojennego MSZ-u.

13. Co prawda rok wcześniej, a to była ogromna różnica, Beckowi lepiej się z Góringiem niż z Ribbentropem rozmawiało. W lutym 1938, zanim udał się na swoje ulubione białowieskie polowanie, hitlerowski dygnitarz rozmawiał z Rydzem-Śmigłym, premierem Składkowskim i Beckiem oczywiście. Po czym wydano obiad na jego cześć. Na trzydzieści sześć osób. I co, znowu indyk z borowikami? Niektórzy uważali, jak pisze sekretarz Becka Starzeński, że to „ptaszę zbyt odpustowe, żeby je podawać zbyt często”. Potem był raut i tańce z orkiestrą: wszystko dla Góringa w paradnym mundurze, który nawet mimo swojej tuszy zatańczył raz i drugi, po czym Beck zaanektował go na dłuższą, oczywiście szczerą i poufną rozmowę. Zapewnił wówczas gościom, że Polacy nie pójdą znowu bić się pod Wiedniem w obronie Austrii, którą właśnie spotkał Anschluss. Według innej wersji powtórzył to zdanie pod konnym portretem Jana III Sobieskiego. Rewanżując się za tę miłą deklarację, Góring zapewnił, że polskie interesy gospodarcze w Austrii rozumieją się same przez się. I wolno podejrzewać, że Beck był zadowolony z tej wymiany zdań. Zadowolony ze swego konceptu, bo powtórzył go swojemu sekretarzowi. Zupełnie nie zdając sobie sprawy z gąfy moralnej, którą popełnił, przyklaskując drapieżnikowi. Jeśli nawet szczupły, elegancki Beck, „szyk chłopiec”, jak o nim powiedział Piłsudski widząc go we fraku, przy orderach, nie czuł, co bardzo prawdopodobne, żadnej sympatii do ekscentrycznego grubasa Góringa, tylko traktował swój żart jako zręczny, w jego mniemaniu, koncept dyplomatyczny, to powinien był zdawać sobie przynajmniej sprawę, co warta jest odpowiedź Góringa. O którym musiał wiedzieć, powinien był wiedzieć, chyba jednak wiedział, z kim ma do czynienia. Nie tyle z synem dyplomaty, dyplomata, dzielnym pilotem, miłośnikiem Białowieży, to wszystko tak, ale również - i przede wszystkim - z amoralnym, hitlerowskim dygnitarzem i mordercą, który właśnie wziął walny udział w „nocy długich noży” i kiedy Hitler rozprawiał się z Röhmem, a przy tej okazji z innymi przeciwnikami, Góring, wraz z Goebbelsem, podpuszczał jeszcze swego wodza do krwawych represji. Ale nie tylko nasz minister zlekceważył sobie Anschluss: aż dziwne, jak bez zastanowienia potraktowano w Polsce to co się stało z Austrią. Nawet Józef Rettinger, nawet w „Wiadomościach Literackich” uznał, że ten kierunek ekspansji Trzeciej Rzeszy jest zrozumiały. A przecież Austria, tradycyjna rywalka Prus o przewodnictwo i przywództwo w niemieckojęzycznym świecie, miała swoją, całkowicie odrębną historię i wielką kulturę. I Anschluss, bardziej wchłonięcie niż zjednoczenie, nie mógł być niczym naturalnym. Mało kto roztrząsał wówczas, jakie metody działania państwa hitlerowskiego ujawniły się przy tej okazji. A przecież od placówek naszego ministerstwa w Austrii można było dowiedzieć się, dlaczego Żydzi, obywatele polscy, w panice opuszczają Austrię, czego się boją nie bez powodu, co bardzo konkretnie tak ich wystraszyło (za rok, bardziej drastycznie, podobna sytuacja powtórzy się na granicy polsko-niemieckiej, w Zbąszynie). Jakoś mało się o tym mówiło, jakby rzecz rozgrywała się na innym kontynencie, w odległej epoce, co oznacza entuzjastyczne przyjęcie Hitlera na wiedeńskim „Placu Bohaterów” (słynny Heldenplatz). Bo nie tylko duma z czegoś w rodzaju unii personalnej: że oto prosty rodak z Górnej Austrii, Adolf Hitler, stał się kanclerzem, więcej, przywódcą Trzeciej Rzeszy. Tylko co zapowiadał ten nazistowski wiec, jaki był jego styl, nastrój, jakie przesłanie. Wielki pisarz Thomas Bernhard zabronił wystawiania swoich sztuk, jedna z nich nosi tytuł „Heldenplatz”, we własnej ojczyźnie, tym sposobem protestując przeciwko austriackiej współodpowiedzialności za nazizm. Dla Bernharda „Plac Bohaterów” stał się placem hańby. Do dziś w komórkach, na strychach narciarskich pensjonatów, zdarza się potknąć o zakurzone, wojenne pamiątki ze swastyką. Jakiś czas temu szlachetni młodzi wiedeńczycy, w najlepszej wierze, taka akcja, całowali

wychodzących z synagogi, wręczali kwiaty. Wtedy któryś z obdarowanych powiedział, że nie chcą być ani całowani, ani mordowani. W przypadku Anschlussu dosyć dziwnie brzmią, pocieszające w intencji, a powtarzane przez wiele osób, w tym również wypowiedane przez Becka zdanie, że „Hitler bardziej jest Austriakiem niż Prusakiem”. Wydawałoby się, że Beck ze swojej galicyjskiej młodości mógł zachować jakiś sentyment dla państwa Habsburgów, ale nie, tu najwyraźniej wydało mu się, że Polska należy do tych państw, które dyktują innym swoje warunki. Austriakiem był, między innymi, również Stangl, komendant Treblinki, który przed Anshlussem, jako policjant w mieście Linz, dał się trochę we znaki zwolennikom Hitlera. Więc po Anshlusie bał się trochę, ale dano mu szansę rehabilitacji. Doceniono jego gorliwy profesjonalizm, dyskretną biurokratyczną energię. I oto w Treblince, nie wchodząc osobiście w fizyczny kontakt ze swoimi ofiarami, skromny austriacki policjant zrobił karierę jednego z największych nazistowskich zbrodniarzy. Zupełnie inny jest austriacki przykład inżyniera z Wiednia, Otto Skorzenego. Jego brawurowe spadochroniarskie wyczyny, bądźmy obiektywni, nie mają sobie równych. Uwolnił Mussoliniego, który był uwięziony w niedostępnych Abruzzach. Opanował zamek w Budzie, strzeżony przez oddziały węgierskie, wierne regentowi Horthy'emu, kiedy ten próbował zerwać z Hitlerem. Ale dzięki takim jak Skorzeny, zuchwałym awanturnikom, dłużej dymity kominy w Sobiborze, Treblince, czy Oświęcimiu. W całej wojnie wyróżniły się austriackie, ściślej tyrolskie dywizje górskie, z tradycyjną szarotką na czapce. Walczyły zresztą nie tylko w górach Krety czy Kaukazu, również w błotach nad rzeką Wołchow, na północnym rosyjskim froncie. Twardzi alpejscy górale, znakomici snajperzy. Mój znajomy Austriak, entuzjasta Bernharda tłumaczył mi, że nazizm powstał właściwie w Austrii, ojczyźnie autora „Mein Kampf”. A Niemcy? Dodali do tego swoje germańskie mity i perfekcję organizacyjną. Trochę tak jak terror jakobiński z Wielkiej Rewolucji Francuskiej znalazł kontynuację i rozwinięcie do niebywałej skali w bolszewickiej Rosji. Co Anschluss oznaczał dla Czechosłowacji, zupełnie nie martwiło ministra Becka. Zapewne nasi południowi sąsiedzi też nie grzeszyli elegancją mówiąc o Polsce, byli wobec Polski politycznie złośliwi, ale czasem trochę wstyd za naszego ministra, postać było nie było historyczną. Beck lubił się powoływać na marszałka Piłsudskiego stwierdzając, że „marszałek Józef Piłsudski nie krył, iż Czesi nie są w Polsce poważani ani lubiani”, więc sam pozwalał sobie na wiele więcej. W czerwcu 1937 roku przewidywał, że „Czechosłowacja jako karykatura monarchii austro-węgierskiej, bez Habsburgów” nie utrzyma się dłużej niż półtora roku. Gdybyż Beck mógł przewidzieć, że spełnienie tego proroctwa oznaczać będzie katastrofę jego dotychczasowej polityki, że po Czechosłowacji Polska stanie się kolejną ofiarą Hitlera! Ale resentymenty wobec Czechosłowacji, o której Beck wyrażał się per „państewko”, mówił o brutalności właściwej Czechom, były dla niego ważniejsze niż przewidywania.

14. Swoją największą rolę w dziejach świata Polska odegrała we wrześniu 1939 roku. Z pewnością powyżej swoich możliwości i dlatego tak drogo za nią zapłaciła. Wrześniowa klęska dała początek wojnie światowej i stąd dla historii powszechnej znaczy więcej, niż polskie zwycięstwa, na które chętnie się powołujemy. Grunwald. Tak, wielka średniowieczna bitwa. Jedna z największych. Ale na peryferiach Europy. Zresztą niczego nie rozstrzygnęła, nawet tamtej kampanii. Wiadomo, że polne, polsko-litewskie zwycięstwo nie dało się wykorzystać pod przepaścistymi ścianami Malborka i wkrótce, bo jeszcze w tym samym XV wieku czekały Jagiellonów trudne, trzynastoletnie zmagania z Zakonem. Zresztą czy wynik bitewnej wrzawy, obłoków kurzu wzniecanych końskimi kopytami pod Grunwaldem miał, czy w ogóle mógł mieć jakiś wpływ na doniosłą dla świata, zbrojną i handlową rywalizację między miastami-mocarstwami, Wenecją i Genuą. Na kolej wojny, jaką toczyli ze sobą, na przestrzeni całego stulecia, królowie Francji i Anglii? Na burzliwe dzieje papieżstwa i Cesarstwa Rzymskiego? Jak się miała, jeśli w ogóle, haratanina pod Grunwaldem, do odkrycia i podboju nowych kontynentów przez Hiszpanię i Portugalię, co właśnie się zaczęło? Chyba nijak, podobnie jak nie zależała od Grunwaldu potęga i bogactwo Florencji czy Mediolanu. Czymże była ta bitwa, której nie malował wielki Paolo Ucello (prawdopodobnie w ogóle nie słyszał o niej), tylko nasz lokalny Matejko, wobec zmagania skłóconej chrześcijańskiej Europy z islamem, reprezentowanym przez groźne Imperium Tureckie. Zmagania o panowanie nad Morzem Śródziemnym, gdzie słońce, ziemia i woda od wieków sprzyjają ludzkości. To epicentrum cywilizacji przesłaniały od północnej i wschodniej Europy nieprzebyte puszcze, rzeki i surowych zim potężne łuki Alp, Karpat i chaotyczne góry Półwyspu Bałkańskiego. Oczywiście trafiały się tam, jak wszędzie, tak trochę ubi leones chociaż powinno być raczej ubi orso, ważne stolice, zasobne klasztory; wśród lasów i jezior mieszkali dzielni, bitni ludzie; dla wielkiej historii było jednak dosyć drugorzędne, kto w danym roku kontroluje ujście Wisły. I sprawa czy warto umierać za Gdańsk, pojawiła się po raz pierwszy w dziejach świata bardzo późno, właściwie dopiero w 1939 roku. Albo jakie znaczenie dla świata miało, czy granice Królestwa Polskiego i Litwy przesuną się jeszcze dalej na bezkresny, z europejskiego punktu widzenia, wschód, choćby nawet o kilkaset kilometrów, czy za jakiś czas cofną się pod moskiewskim naporem. Wiktoria wiedeńska. Odniesiona została w koalicji, wojska króla Jana III Sobieskiego stanowiły jej trzecią część. To prawda, że zdecydował atak polskiej husarii i mamy prawo uważać naszego króla za głównego triumfatora. Ale ów atak został przygotowany zespołowo. I nic przecież nie ujmuje Sobieskiemu, byłoby to nawet z polskiej strony elegancko przyznać, że książę sabaudzki, największy wódz austriacki, miał ważny udział w zwycięstwie. Atak husarii udał się, to prawda, ale wcale nie rozstrzygnął owej wojny. Wkrótce znalazł się nasz król w trudnej sytuacji pod Parkanami i raz jeszcze musiał walczyć o zwycięstwo, a Turcja była dalej groźna. I tak naprawdę, gdyby w 1711 roku wezyr, przekupiony przez genialnego bankiera Szafirowa, nie wypuścił Piotra I oraz całej jego armii z bezwzględnej stepowej pułapki nad Prutem, dzieje powszechne mogłyby rzeczywiście potoczyć się inaczej. Na szczęście zapomniana została tamta, cytowana już uwaga Becka, że odsiecz wiedeńska już się nie powtórzy. Niby dowcipna, ale wybitnie nieelegancka wobec ginącej Austrii i po prostu głupia, jeśli zważyć jakie konsekwencje, również dla Polski, miała utrata przez Austrię niepodległości. A teraz bitwa warszawska 1920 roku. Lord D'Abernon był uprzejmy zaliczyć ją do osiemnastu najważniejszych bitew w dziejach świata. Wypada oczywiście podziękować. Uznano też odparcie bolszewików spod Warszawy za cud nad Wisłą. I ta religijno-patriotyczna wersja przyjęła się z czasem: doraźnie wymyślono cud, aby pomniejszyć rolę marszałka

Piłsudskiego, sprowadzić ją do praktycznego wspierania cudu. A jeśli cud, to i przedmurze, do obrony którego Polska historycznie się poczuwała. Tyle, że trudno tutaj o wyłączność. Przedmurzem chrześcijaństwa była już Ruś Kijowska wobec koczowników. Z kolei szlachecka Rzeczpospolita Polska przypisywała sobie taką rolę w obliczu moskiewskiej satrapii i tatarsko-tureckiego niebezpieczeństwa. Krzyżacy, potem Prusacy, w ogóle Niemcy ochoczo bronili cywilizacji przed żywiołem słowiańskim. Póki się dało, straszili pogaństwem, potem już tylko słowiańskim lenistwem, brudem i dzikością. Dalej na zachód Francuzi uważali się za powołanych, żeby osłaniać swoje łaćńskie wyrafinowanie przed teutońskim barbarzyństwem. Na Riwierze długo jeszcze tolerowali Anglików jako ludzi niższej kultury. Nie mówiąc już o Jankesach czy Rosjanach, chociaż ci ostatni, nie dość, że bogaci, to jeszcze mieli gust. Natomiast dla Włochów wszyscy przybysze z północy, od wieków, byli najeźdźcami albo turystami. O ile jednak Germanie i Słowianie przyznawali się, z dumą czy pokorą, do swojego barbarzyństwa we włoskim ogrodzie, to Francuzi zwykli zachowywać się arogancko, taka tradycja, od króla Franciszka I do Napoleona, który ograbił Wenecję. A potem francuscy sojusznicy, w walce Piemontu z Austrią, też skwapliwie dawali odczuć swoją wyższość. Nawet jeśli zwycięstwo 1920 roku wesprze się metafizycznie, nie zmieniło ono, podobnie jak Grunwald czy Wiedeń, losów świata. Bo tak czy inaczej nawala bolszewicka wytracała rozpęd Względna łatwość z jaką stłumiono rewolucję bawarską czy efektowne buntury we flocie francuskiej wskazywały, że wyobrażenia o niczym nie powstrzymanym triumfalnym pochodzie komunizmu przeszły już do pobożnych, a raczej bluźnierczych życzeń, które wykrzykiwali płomienni trybuni rewolucji z Trockim na czele. Groźba takiego pochodu stała się natomiast skutecznym dzwonem alarmowym dla Zachodu. Pożar świata jako propozycja nie mógł chyba liczyć na żywe poparcie wykrwawionych w wielkiej wojnie mas pracujących; narody miały dość wojny i mogły raczej stanąć z bronią w rękę do walki, nie tyle może o pokój, ile o spokój. Poza tym pierwsza światowa dopiero co się skończyła i fachowców wojennych nie brakowało. Francuscy marszałkowie nie patyczkowali się już wcześniej z pacyfistami i dezertarami, nie mówiąc o buntownikach. A niemieckie Freikorpsy nie ustępowały w kontrrewolucyjnej bezwzględności żołnierzom światowej rewolucji. Wiosną 1939 roku od Polski, kraju ogromnie drażliwego na punkcie swojej niepodległości po 120 latach niewoli, zależało, kiedy wybuchnie wojna, wielka wojna, bo na wojnę nieuchronnie się zbierało. Chociaż do końca ludzono się, że wojny nie będzie. Można zrozumieć te złudzenia, bo ludzie nawet czyniąc do wojny przygotowania, wojny nie chcieli, uważali, że wojskowa równowaga zapewni pokój i to oczywiście odbiło się na jakości tych przygotowań. Prócz Hitlera, który na wojnę już postawił, należało tylko dopiąć sprawy organizacyjne i propagandowe. Hitler, odważny i zręczny gracz na międzynarodowej arenie, który ukrywał przed światem swoje wilcze zęby fanatyka, poczuł krew. I odtąd totalna wojna, a nie perfidna i brutalna polityka, będzie jego żywiołem.

15. A stało się to wszystko za sprawą polskiego ministra Józefa Becka, który uwierzył bardziej w swój prestiż i talent, niż w wojnę. Wcześniej, w poczuciu zagrożenia, Polska przyjęła gwarancje angielskie, na co Hitler wypowiedział pakt o nieagresji i ponowił swoje żądania w formie ultimatum. Beck odpowiadając na to w Sejmie 5 maja 1939 roku, może nie do końca zdawał sobie sprawę z konsekwencji swojego emocjonalnego wystąpienia, i chociaż potem starał się unikać zadrażeń, było już za późno na dyplomację. Po raz pierwszy wśród skomplikowanej europejskiej gry sojuszy, paktów, klauzul, tajnych protokółów, reasekuracji, taktyki i retoryki, ktoś, właśnie Józef Beck niespodziewanie, ale za to w sposób oczywisty' przeciwstawił się Hitlerowi. Zapewne znalazłoby się wielu godniejszych niż on mężów stanu, bardziej reprezentacyjnych i reprezentatywnych, z międzynarodowym autorytetem. Niestety Józef Piłsudski, mistrz Becka i jego ojciec duchowy, nie żył już od paru lat. Winstona Churchilla, z rodu wielkiego wojownika Marlborough, dopiero wojna przywiedzie do władzy. Więc to właśnie Beck powiedział „nie” i Polska po raz pierwszy w swojej historii znalazła się, jak to się mówi, na ustach całego świata. Znalazła się jeszcze raz, wkrótce potem, 1 września tegoż roku, kiedy pancernik Schleswig-Holstein rozpoczął wojnę salwą ze swoich najcięższych dział. A jednocześnie pierwsze bomby spadły na senne, wielkopolskie miasteczko Wieluń. Przemówienia sejmowego Becka słuchał cały świat. W Polsce wywołało ono entuzjazm i tym ostrzejsze stało się po klęsce wrześniowej potępanie i zapomnianie Becka, którego uznano za jednego z jej sprawców. Beck reagował w polskim Sejmie na agresywne, jak nigdy dotąd w stosunkach z Warszawą przemówienie Hitlera, dla którego sojusz polsko-angielski był także osobistym wyzwaniem. Co prawda wcześniej Beck, wierny Piłsudskiemu, konsekwentnie odrzucał wiązanie się z Trzecią Rzeszą. 'Me wszystko odbywało się poufnie, a teraz dyplomatyczna porażka Hitlera wyszła na jaw. A przecież dotąd forsował Beck, właściwie przez cały czas swojego urzędowania, politykę można powiedzieć równoległą, albo mówiąc prościej, w wielu wypadkach wygodną dla Hitlera. Była to polityka niepopularna i niebezpieczna. Ale ambasador Kajetan Morawski, dyplomata i intelektualista, wierny przyjaciel Francji, dla którego linia Becka była obca i błędna, po katastrofie wrześniowej nie przyłączył się do oskarżeń wobec ministra, mówiąc, że nie należy kopać leżącego. Dlatego również, że jak sam wcześniej napisał, Polska skazana jest na to, by żyć niebezpiecznie, co wydaje się uznać za okoliczność łagodzącą, bo w takiej sytuacji trudno ustrzec się błędów. Przywódcy sanacyjni z pewnością nie znali, a gdyby nawet znali, wcale by się nie przejęli szekspirowską mądrością, że biada temu, kto wchodzi między potężnych szermierzy. Tym bardziej, że Polska geopolitycznie już się znajdowała w sytuacji, przed którą przestrzegali Szekspir. Ci potężni szermierze groźni byli nie tylko dla siebie: również, to oczywiste, dla Polski. Teraz jeszcze groźniejsze były Rosja bolszewicka i Niemcy hitlerowskie. Do owych potężnych szermierzy zaliczały się też mocarstwa zachodnie, tym bardziej bezwzględne w pilnowaniu swoich interesów, że niekonsekwentne wobec państw, z których każde owładnięte było jakąś zbrodniczą ideologią. Słowem, żaden Szekspir by tu nie pomógł, a zresztą dla ludzi, którzy odziedziczyli państwo polskie po Marszałku, to właśnie Piłsudski i ewentualnie Opatrzność były jedynymi autorytetami. Zresztą wyposażenie intelektualne ekipy rządzącej nie przedstawiało się najlepiej, o czym sporo pisze Michał Łubieński w swojej refleksji, pisanej z dystansu kilkunastu zaledwie miesięcy po klęsce wrześniowej. Oto reprezentacyjny prezydent Ignacy Mościcki. Niegdyś wybitny uczyony, a przy tym dzielny działacz i konspirator, wreszcie prezydent i mąż młodej kobiety. Stryj Micio wyraźnie, być może również pod wpływem swojego ministra, nie lubi Mościckiego. I na jakiejś

przecież podstawie dyskwalifikuje głowę państwa. „Jest to jedna z najtragiczniejszych postaci współczesnej polityki polskiej” - pisze. - „Człowiek słabego umysłu, nieobejmujący już nie tylko polityki wewnętrznej lub zagranicznej, ale nawet ekonomii, co miało być jego specjalnością - a zarazem machiawelsko utalentowany człowiek w dziedzinie wygrywania personalii, geniusz prawdziwy w dziedzinie prywaty, wreszcie fałszywy starzec, o obleśnym uśmiechu”. Mościckiego to pomysłem miało być wyniesienie Śmigłego jako marszałka Polski do rzędu drugiej osoby w państwie”. Tymczasem „buława marszałkowska w rękach Śmigłego ośmieszała go, rola jego w polityce państwa dyskredytowała go”. Do szkicowania portretu swojego zwierzchnika Józefa Becka podchodzi stryj Micio znacznie starannie. Można powiedzieć trzeciej osoby w państwie, ale decydującej o losach tegoż, bo mimo sporów i intryg z prezydentem czy wodzem naczelnym pozostawał Beck właściwie samodzielnym twórcą polityki zagranicznej, jako spadkobierca i uczeń Piłsudskiego. Osobny rozdział poświęcony Beckowi poprzedzony jest mottem z księcia Kondeusza, słynnego francuskiego wodza, według którego „nikt nie jest wielkim człowiekiem dla swojego służącego”. I niejako z tej pozycji, oczywiście nie tyle sługi ile podległego służbowo i zaufanego pracownika, zastrzega się autor, że trudniej mu pisać o Becku „niż komukolwiek, bo go widziałem z bliska, znałem jego słabości, wątplenia i załamania”. I tu padają zastanawiające słowa: „Nienawiść jaką powszechnie budził, była miarą jego niepowszedniości. Jest to jedyna pociecha ludzi stojących u władzy”. I jeszcze: „Nie był to człowiek stworzony do szczęścia”.

16. Stryj Micio portretuje Becka z talentem literackim: „Wysoki, długi, chudy, z olbrzymim nosem, wąską twarzą ascety, z pięknymi rękami o długich palcach, ze swoimi zmysłowymi ustami, bardzo charakterystycznymi w tej surowej twarzy), wyglądał raczej na jakiegoś artystę niż na żołnierza. W każdym razie tworzył on sylwetkę dobrze się prezentującą eleganckiego, raczej młodego mężczyzny. Pewne nadęcie twarzy - wynik zdaje się nieśmiałości zrodzonej z dumy, oraz pewne tiki jak pociąganie nosem, psuły trochę pierwsze dodatnie wrażenie. Miał on też bardzo zły zwyczaj przejęty prawdopodobnie z jakiejś drugorzędnej wiedeńskiej mody - noszenia kapelusza zsuniętego na tył głowy - co właśnie podkreślało jego rysy i nadawało im istotnie wyraz trochę semicki”. Bardzo wiarygodnie pobrzmiwa tu dystans, z jakim arystokratyczny Dyrektor Gabinetu przedstawia swojego zwierzchnika. Uwaga o nieco semickim wyglądzie nawiązuje do określenia, jakiego miał użyć mówiąc o Becku, bardzo mu nieprzychylny Szymon Askenazy, „ten Żydek z Limanowej”. Bo istotnie w Limanowej spędzał Beck dzieciństwo i wczesną młodość. Pamiętając, kim był sam Askenazy, wielki polski patriota, jego uwaga mogła wydać się Dyrektorowi Gabinetu zabawna. Bez jakichś dwuznacznych kontekstów. Michał Łubieński miał doskonałe stosunki z Włodzimierzem Żabotyńskim, działaczem syjonistycznym, i sprzyjał mu w załatwianiu urzędowych spraw. Z podobną przenikliwością przedstawiony jest profil intelektualny Becka. Pobrzmiwają tutaj wobec ministra tony protekcyjne: „Mentalność jego była nacechowana pewną kulturą wyniesioną ze środowiska rodzinnego (stryjem jego był Dionizy Beck, w którego domu bywał Wyspiański, Żeromski i inni), nie pogłębioną przez obcowanie w wieku dojrzałym w środowiskach intelektualnych. Zresztą było to u niego świadome, gdyż pogardzał on intelektualizmem, „schöngeistami” i lubił pozować na prostaka żołnierza i rozumować kategoriami żołnierskimi”. To by się zgadzało, Beck mawiał, że dyplomata jest właśnie jego Dyrektor Gabinetu, on sam zaś pułkownikiem artylerii konnej i że nie ma na świecie nic piękniejszego niż bateria artyleryjska w pełnym galopie. Umysł ministra nie został przez stryja Micia oceniony jako dociekliwy czy zdolny do łatwej syntezy, ale „żywy, inteligentny, podchwytliwy, łatwo przyswajający sobie cudze myśli, rozumujący ściśle i dokładnie, argumentując) z przekonaniem, chociaż zazwyczaj niezbyt jasno”. Stryja Micia wychowanego na fin de siècle'u i intelektualizmie petersburskim uderzał zawsze brak jakichkolwiek poważniejszych zainteresowań Becka w dziedzinie umysłowej. „...Filozofia go nie interesowała... Miał on pewną swoją filozofię życiową opartą na jakichś bliżej nieznanach, zapewne z drugiej ręki otrzymywanych cytatach z Koranu i innych wschodnich mądrości... Religijność obracała się wokół wiary w Opatrzność, etyka dokoła prymitywnych pojęć Dobra i Zła i wiary w odkupienie przez Cierpienie”. Ulubione cytaty Becka w tej dziedzinie? „W najciemniejszą noc po szarym marmurze pełźnie mrówka, a Allah słyszy szelest jej stóp.” Lub z dziedziny etyki: „Człowiek będzie sądzony według czynków jakie czyni, żeby podnieść się z upadku.” Konkluzja: „W okresie miodowych miesięcy mojej z nim współpracy) przegadaliśmy niejedną wieczór przy szklance wina i wszystko, co minister mówił, było niewątpliwie miłe, szlachetne i dobre, ale wszystko jakoś tchnęło pewną nieskomplikowaną filozofią porządnego kasyna oficerskiego”. Nie było zatem szans, żeby Beck roztrząsał szekspirowskie mądrości, ponieważ teatr go nudził, „bo musi słuchać gadania nieznanym ludzi o ich osobistych sprawach, które nic go nie obchodzą”. Co zresztą nie jest pozbawione racji. Życzliwi młodzi urzędnicy wspominają, że cenił Conrada, w każdym razie miał go pod ręką na półce, a już na pewno czytywał kryminały i książki historyczne. Jak przystało na sługę rasowego (nietypowego, bo w randze Dyrektora Gabinetu) stryja Micio pozwalała sobie pisząc o swoim ministrze na

różne, czasem złośliwe poufałości. Czyni to w poczuciu obowiązku, żeby o Becku napisać całą swoją prawdę. Z kolei lojalność wobec szefa sprawiła, że nie chciał udostępnić publicznie tych uwag za swojego życia. Syn Michała Łubieńskiego sięgnie do nich dopiero po śmierci autora, ćwierć wieku później. Minie jeszcze kilkanaście lat i dopiero wnuk, Andrew, w tym roku prześle tekst do wrocławskiego Ossolineum. Trudno się dziwić autorowi, że dba o dyskrecję. W swoich refleksjach nie ogranicza się bowiem do inwentaryzacji „słabego bagażu umysłowego Becka”. O wiele poważniejsze są uwagi o charakterze ministra: „Była to natura pełna kontrastów. Podłoże jej było niesłychanie szlachetne, entuzjastyczne, niepozbawione skromności. Miał on coś z wierności średniowiecznych rycerzy, coś z najbardziej prymitywnego, a pięknego poczucia honoru ludzkiego, coś z najpiękniejszego humanitaryzmu. Było wielkie poczucie obowiązku i gorące ukochanie Polski, wielkie, ślepe przywiązanie do marszałka i twarda, żołnierska szkoła woli. A jednak człowiek ten porzucił żonę w chwili, gdy mu miała urodzić dziecko, zmienił religię dla innej kobiety, a jednak człowiek ten ulegał nałogowi pijaństwa, które niszczyło jego zdrowie i charakter powoli, ale z straszliwą niechybnością. Od roku 1936 był to zresztą człowiek ciężko chory”. Wydaje się, że pełen sprzeczności charakter Becka, rządzący się pospół pryncypiami i emocjami, zaważył również na jego decyzji gwałtownej zmiany polityki, którą tworzył. Decyzji odejścia od pertraktowania, które oznaczało paktowanie z Hitlerem, podjęcia nowej, ryzykownej gry. Postąpił tu Beck wbrew swojej zasadzie, którą objaśniał, posługując się ulubioną przez siebie wojskową metaforą, że „w regulaminie konnej artylerii po komendzie galop nie można podać komendy do zmiany kierunku”. Dużo donioślejsze niż braki intelektualne było lekceważenie przez Becka spraw gospodarczych oraz zdumiewająca ignorancja w dziedzinie wojskowej, mimo szczerej i często demonstrowanej miłości do wojska i munduru. Jak na artylerzystę (z artylerii konnej co prawda), ośmieszał się Beck, nie zdając sobie z tego sprawy, pomysłami w rodzaju, że nasze baterie na Helu dadzą, jeśli będzie trzeba, nauczki zbuntowanemu przeciw Polsce niemieckiemu Gdańskowi. Gdy tymczasem one nie miały po temu odpowiedniego zasięgu, czego rzecz jasna nikt ministrowi nie próbował wytłumaczyć. Tylko szef Sztabu Marynarki, komandor Korytowski, dyskretnie poinformował jak się sprawy mają Dyrektora Gabinetu. Za którego pośrednictwem my z kolei dowiadujemy się o takiej koncepcji Becka dopiero przy okazji siedemdziesiątej rocznicy września. Nie był zresztą Beck w tym swoim mylnym przekonaniu odosobniony. Jeszcze na dwa tygodnie przed wybuchem wojny można było przeczytać w „Prosto z Mostu”: „Lufy polskich armat na Helu dostatecznie i wymownie panują nad Zatoką Gdańską, byśmy mogli spać spokojnie”. Podobnie, gdyby nie Dyrektor Gabinetu, nie znalazłbyśmy przekonania Becka, że nie sposób było skonstruować samolotów szybszych niż nasze ówczesne, bo groziłoby to pilotom zawrotami głowy. Albo jego pewności, że polskie lotnictwo jest w ogóle najlepsze. Powziętym na podstawie pokazu dla włoskiego ministra Galeazzo Ciano, na który ściągnięto samoloty z całego kraju. Co gorsza nie próbował Beck weryfikować, myślę, że na wszelki wypadek, groteskowej, często być może udawanej, pewności siebie Rydza-Śmigłego co do polskich możliwości wojskowych. Logicznie więc lekcewał i pomijał kompetentne, ale co Beckowi było nie w smak, alarmujące doniesienia z Berlina attache wojskowego pułkownika Antoniego Szymańskiego. Beck mówił o nim, że to „strachajło” i że jako poznańczyk cierpi na kompleks niższości wobec Niemców. Tymczasem Szymański po prostu był dobrze zorientowany co do potęgi Niemiec i ich przygotowań do wojny. Ale meldunkom wywiadu zarozumiali przywódcy narodów często nie dają wiary, jeśli jest to im

politycznie niewygodne. A swoją drogą na trybunach, w swoich gabinetach, na salach posiedzeń plenarnych uważają się za coś lepszego od szpiegów, którzy muszą wykraść dokumenty, czasem kryć się po krzakach, podnosić kołnierze i nasuwać głębiej kapelusze. Politycy zawsze podejrzewają bluff, prowokację, manipulację. Dlatego Beck nie wierzył Szymańskiemu, ale cóż w tym dziwnego, zachowując wszelkie proporcje, Stalin też nie skorzystał z tajemnej wiedzy swojego wielkiego agenta Richarda Sorge, który pracując w poselstwie niemieckim w Japonii daremnie informował o gotowości Trzeciej Rzeszy do ataku na ZSRR. Ale w ignorancji wojskowej, niewykluczone, że była wyrozumowana, żeby tylko nie budzić defetyzmu, tej zmyry przedwrześniowych władz, wcale nie ustępował Beck wielu wysokim oficerom służby czynnej.

17. Oczywiście Michał Łubieński lojalnie, bez większych oporów, również już po wrześnieowej kłęsce, podzielał główne kierunki polityki ministra. A także, do pewnego stopnia, jego złudzenia i fobie. Inaczej przecież nie mógłby pełnić obowiązków Dyrektora Gabinetu. A więc lekceważenie instytucji międzynarodowych, Ligi Narodów, Trybunału Haskiego. Torpedowanie pomysłów bezpieczeństwa zbiorowego, umów wielostronnych. Nieufność wobec mocarstw zachodnich, zwłaszcza Francji. Zainteresowanie Włochami Mussoliniego, które miały być jakąś przeciwwagą dla Hitlera. Brak refleksji na temat sytuacji wewnętrznej w Trzeciej Rzeszy. Brutalna stanowczość wobec Litwy. Spokojna neutralność na wieść o dokonaniu Anschlussu. Obojętność na los Czechosłowacji, nie pozbawiona złośliwej satysfakcji oraz pomysłów, żeby na tym skorzystać. Ignorowanie możliwego radzieckiego zagrożenia. Tyle że bez owej pewności, która Becka cechowała. Myślę, że Dyrektorowi Gabinetu imponowała silna osobowość Szefa (tak mówiono o Becku w ministerstwie). Jego determinacja w samotnym podejmowaniu odważnych, niepopularnych decyzji. Patriotyczna duma. Odporność na wielkoświatowy snobizm. Więc nie treść, ale forma, styl beckowskiej polityki mogły czasem razić Dyrektora Gabinetu. I pewne śmieszności Becka. Dla przykładu z wyraźnym dystansem, może nawet zażenowaniem, odnotowuje stryj Micio zadowolenie ministra, kiedy podczas oficjalnej wizyty w Berlinie dowiedział się, to znaczy doniesiono mu skwapliwie, wiedząc jak pod tym względem jest próżny, że podobno obie witające go reprezentacyjne kompanie: na dworcu kompania SS, a przy składaniu wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza kompania Reichswehry, zgodnie wyczuły w nim prawdziwego oficera, choć był w cylindrze i przebrany w ceremonialny frak. Bo odwzajemniał każde indywidualne, żołnierskie regulaminowe spojrzenie, które w rosyjskiej armii (tego Dyrektor Gabinetu nie pisze) określało się soczystym słowem: „soldat jebiot naczalnika głazami”. Dystyngowany, wykształcony Łubieński wyznaje, że „pomimo całej mojej miłości do Becka trudno mi go było zrozumieć”, ale próbuje i stara się sformułować aksjomatyczne stwierdzenia, które Beck miał zasłyszeć od Marszałka albo stworzyć w duchu Marszałka, tak jak tego ducha Beck rozumiał. Oto niektóre spośród nich: „W polityce mogą być tylko dwie możliwości: albo walka, albo układy. Psychologiczna strona układu gra o wiele większą rolę aniżeli jego treść (minister to formułował w ten sposób: w umowach, szczególnie umowach sojuszniczych najważniejszą rzeczą jest podpis). Honor Narodu jest czymś ważniejszym od interesów materialnych (zakończenie mowy 5 V 1939 r.). Negocjacja z agresywnym przeciwnikiem winna być poprzedzona demonstracją siły (słowa ministra: najpierw dać w zęby, a potem się układać). Przy polityce ścisłego porozumienia słabszy partner zdany jest na łaskę silniejszego. Politykę zagraniczną prowadzi się w drodze kontaktów osobistych. W razie rozpoczęcia akcji dyplomatycznej, nigdy nie zmieniać raz podjętych decyzji (słowa ministra: w regulaminie konnej artylerii po komendzie galop nie można podawać komendy dla zmiany kierunku). W polityce liczy się tylko ten, kto robi trudności.” Komentując te zasady, Michał Łubieński upomina się jednak o rolę negocjacji, którą uważa „za alfę i omegę polityki zagranicznej”. Ale stwierdza melancholijnie, w nawiązaniu do ulubionych przez Becka deklaracji, nawet pozy, żeby wywoływać pożądane wrażenie na rozmówcy, że istotnie „negocjacja jest rzeczą całkowicie niezgodną z pojęciem honoru. Honoru broni się nie w drodze pertraktacji, a właśnie w drodze „zajmowania postawy”. Pertraktacje służą do ochrony interesów, są źródłem kompromisu i dlatego zazwyczaj wśród kół niefachowych nie cieszą się popularnością”. I tu Dyrektorowi Gabinetu musiało być przykro, że również u ministra. Becka wyraźnie bawiła dość idiotyczna anegdota, którą powtarzał za Marszałkiem: „francuski minister Paul

Boncour to taki człowiek, który jak mu pies nasiusia na nogę, to zacznie z nim prowadzić negocjacje". Nic dziwnego zatem, że stryj Micio nie pamięta, aby za urzędowania Becka przeprowadzono skutecznie choćby jedną wielką negocjację dyplomatyczną. Ale zaraz spieszył dodać, że Beck był wielkim wirtuozem swojej metody politycznej, choć znowu upiera się, że nieobecność negocjacji była brakiem w dyplomacji polskiej. I tak wciąż rozdarty jest między fascynacją Beckiem, lojalnością wobec niego, zwłaszcza po klęsce wrześniowej, w równym stopniu wojskowej co dyplomatycznej, a kwestią smaku, na co stryj Micio zdaje się być bardziej uwrażliwiony, niż na trafność jakiejś koncepcji politycznej. Z pewnością nie gustuje w zaleceniach Becka, żeby „najpierw dać w zęby, a potem się układać”. Chociaż niewykluczone, że działa tu przewrotny snobizm człowieka eleganckiego wobec brutalności. Chyba zasada robienia trudności, jako klucz do dyplomatycznego sukcesu, też niezupełnie go przekonuje. A co się tyczy „artylerii konnej w galopie” sam Beck, zmieniając kierunek polityki zagranicznej postąpił wbrew regulaminowi.

18. Stryj Micio przyznaje, że nie rozumiał naszej polityki czeskiej i zarzuca jej brak logiki, nie tłumacząc tego dokładnie i nic dziwnego, sam też nie przesadza z konsekwencją. Potrafi napisać, że „naród czeski indywidualnie i prywatnie raczej sympatyczny, mógł być politycznie obrzydliwy i wstrętny. Rozumiem, że postać Beneša budziła w Polsce zrozumiały wstręt, gdyż był to sługus wielkich mocarstw, ze specjalną lubością wysługujący się Niemcom i Moskałom przeciwko Polsce”. Nie można powiedzieć, żeby brzmiało to mądrze i elegancko w wielkodusznym jagiellońskim duchu, zwłaszcza że zostało napisane, kiedy oba kraje znalazły się, co prawda odmiennym sposobem, ale pod okupacją hitlerowską. I nagle Dyrektor Gabinetu zdaje się być zaskoczony, nawet lekko zgorszony, kiedy podczas czeskiego kryzysu Beck oświadcza mu wprost, że wcale nie chce poprawy stosunków z Czechami. Na przykładzie stryja Micia, człowieka refleksyjnego, można się przekonać jak trudno jest politykowi (podobnie jak generałowi) przyznać się do błędu czy uczestnictwa w błędzie. Również politykowi, który jest tylko współwykonawcą, współpracownikiem głównego autora koncepcji politycznej. Oczywiście po ludzku biorąc, godna uznania jest daleko idąca lojalność Dyrektora Gabinetu wobec swojego ministra pogrążonego od Września w chorobie i niestawie. No ale przykro stwierdzić, że po Monachium, upadku Czechosłowacji i klęsce Polski nie może się stryj Micio pozbyć chorobliwej fobii antyczeskiej, której musiał nabawić się w ministerstwie. „Napatrzyłem się czeskich podskakiewiczów w Genewie i podzielał ogólną do nich antypatię, która nie była obca nawet Francuzom”. A więc buta i pogarda wobec pobratymców: przypomina się słynne powiedzenie o francuskich arystokratkach, którzy chociaż dane im było doświadczyć rewolucji i Napoleona, niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. Ale oni mieli pewne podstawy sądzić, że w historii możliwe są powroty dzięki klęsce Cesarza. Polscy politycy z przegranego sanacyjnego, czy nowego emigracyjnego rządu w sojuszniczym Londynie, pod niemieckimi bombami wydawałoby się powinni być zgodni w jednym: że nic już nie będzie tak, jak przedtem. Cał-Mackiewicz w swojej „Polityce Becka” uznał za wymowne przytoczyć jednak relacje sekretarza polskiego poselstwa w Pradze, że minister Czermak z czeskiego MSZ-u płakał, tłumacząc zwłokę w odpowiedzi na naszą agresywną notę. I pisze o tym Cał, też polski patriota, nie z satysfakcją przecież, tylko ze wstydem rozumiejąc, że wstyd za wyrządzoną krzywdę wstydu nie przynosi. Zadowolony z francuskich antypatii wobec czeskich podskakiewiczów Dyrektor Gabinetu zastrzega się wprawdzie: „Wiązałem to jednak raczej z osobami poszczególnych polityków, niż z całym narodem”. Ale znów jakby dla równowagi kreśli zdanie doprawdy mało dyplomatyczne, tym gorzej, jeśli napisane szczerze, bo w tekście zastrzeżonym na wiele lat nie do publikacji. „Daleki byłbym do uważania Czechów za zropiały wyrostek robaczkowy, który należy usunąć”. Oto empatia, elegancja z tolerancją, solidarność w nieszczęściu! Ale oto zaraz potem nawiedza stryja Micia szczęśliwie poczucie przyzwoitości, czy przytomności moralnej, wrodzone, dziedziczone albo wyuczone, bo przypomina sobie, że „gdy Hitler wymyślał na Czechów, Beck się uśmiechał, być może z lekka potakiwał. Gdy Hitler mówił o potrzebie zlikwidowania tego bękarta dawnej monarchii, Beck nie zaprzeczał”. Niewykluczone, że ten bękart to było już za wiele dla stryja Micia. Mógł też przeczytać albo zasłyszeć, że tak właśnie Mołotow wyrażał się o Polsce. Chociaż tłumaczenie przemówienia Mołotowa, które poszło w świat, było nieścisłe: Mołotow nazywał Polskę potworkiem, którego zrodził traktat wersalski. A stryj Micio znał rosyjski jeszcze z Petersburga, co bardzo mu się przydało w okresie zimnej wojny: uczył rosyjskiego w brytyjskim lotnictwie. „C’était une complicité tacite”: tak Dyrektor Gabinetu ocenia milczenie, uśmiechanie się, potakiwanie

Hitlerowi w wykonaniu swojego ministra. Jako milczące współnictwo. Mówi to z oczywistym dyskomfortem. Tym większym, że chociaż, jak stwierdza, nie istniały żadne układy, klauzule antyczeskie między II Rzeczpospolitą a III Rzeszą (gdyby istniały, Dyrektor Gabinetu musiałby pierwszy o nich wiedzieć), Hitler miał prawo liczyć na polską aprobatę dla swoich posunięć. Ale znów w stryju Miciu, nad moralistą, był nim przez chwilę, górę bierze polityk obrażony i zadufany w swoje racje: „Tymczasem nadeszło Monachium, jeden z najcyniczniejszych aktów polityki wielkich mocarstw. Nawet najwięksi wrogowie Czech nie mogli nie przyznać, że po obietnicach i radach dawanych Czechom przez wielkie mocarstwa, tak gładkie sprzedanie olbrzymiego obszaru należącego do tego państwa Niemcom, tak cyniczne kupczenie interesami państwa, które im zaufało, tak ignoranckie traktowanie sprawy kraju, którego nawet map geograficznych w Monachium alianci nie posiadali - przekraczało najpesymistyczniejsze oczekiwania. Najgorsze to, że Czechy zostały sprzedane za nic, za obietnice, za dobre słowo, za piękne oczy Hitlera". Inaczej mówiąc, uważa Dyrektor Gabinetu, że Czechy sprzedano niekorzystnie i w tym widzi problem. Bo że w ogóle sprzedano, jakoś go nie porusza. W przyływie hipokryzji nie pamięta, że jemu samemu jeszcze przed chwilą nie podobały się ani uśmiech ani potakiwanie, czy milczenie Becka, kiedy Hitler wymyślał na Czechów. I powtarzając ulubiony motyw polityki swojego ministra, uzasadnioną skądinąd nieufność wobec wielkich mocarstw, które rozgrywają swoje interesy kosztem traktowanych przedmiotowo krajów środkowej Europy, jakby nie rozumie, jaką rolę, bynajmniej nie solidarną ze sprzedanym krajem, odegrała w całej sprawie Polska. Następują stosowne wyrazy ubolewania: „W Warszawie wiadomość o tym układzie wywołała konsternację. Jednak Czesi byli naszymi sąsiadami, jednak wzmocnienie państwa niemieckiego i lokowanie się ich na południe od nas nie mogło być dla nas obojętne". Po czym dość oficjalnie wyjaśnia Dyrektor Gabinetu powody swojego wzburzenia: „Co było najboleśniej dla polityki mocarstwowej w tej sprawie tak żywo nas obchodzącej, w tej sprawie wschodnioeuropejskiej następowało porozumienie czterech mocarstw kosztem naszego małego sąsiada - bez zgody, bez porozumienia z Polską. Zdradziła nas tu aliancka Francja, przyjazne Niemcy, nie mówiąc już o Anglii i Włochach". I wreszcie stwierdza rzeczowo: „Monachium było najgorszym ciosem dla polityki Becka, ciosem, po którym polityka ta już nigdy się nie podźwignęła". To prawda. I w tym miejscu późny wnuk mógłby dodać: na całe szczęście. Kapitalne jest to pochylenie się nad „naszym małym sąsiadem". A „przyjazne Niemcy"? Już wtedy - mowa o monachijskim październiku 1938 roku - trudno byłoby znaleźć w Warszawie orędowników tej przyjaźni. W pamięci Dyrektora Gabinetu pobrzmiwa zawód, jakby po tych szczególnych przyjaciotach można było się spodziewać czegoś dobrego. I to odczucie przetrwało w „Refleksjach" pisanych przecież po klęsce Polski i podczas toczącej się już na całego wojny Niemiec z Aliantami. Już w 1938 roku, rozmijał się Dyrektor Gabinetu z opinią publiczną w reakcji na Monachium, które „wywołało tak powszechne oburzenie w Polsce, że obawialiśmy się napadu tłumów na ambasadę francuską, a szczególnie angielską, ale także obawialiśmy się jakichś demonstracji antyrządowych". Czyli było się jednak czego obawiać: właśnie oskarżeń o polskie współnictwo. Jednak Dyrektor Gabinetu w rozważaniach na podobny temat nie powoła się na opinię publiczną, bo jak pisze z charakterystyczną wyniosłością Jeżeli istnieje coś podobnego do zdrowego instynktu narodowego to ani to zdrowie ani ten instynkt nie przejawiają się w woli większości". A co do opinii publicznej „zawsze żąda od rządu zrobienia jakiegoś głupstwa". Kiedy Beck przygotowuje słynną mowę w Sejmie, która przyniosła Beckowi nagłą, niespodziewaną powszechną

popularność, Dyrektor Gabinetu korzystając z przyznanego mu prawa i obowiązku wypowiedzenia własnego zdania, mówi Beckowi, że się o niego boi bo (są na ty), „zaczynasz prowadzić popularną politykę, a to jest zawsze bardzo zły znak w polityce zagranicznej”. Być może zamiast popularnej powinno być populistycznej, ale takie słowo nie było jeszcze w powszechnym użyciu.

19. Dyrektor Gabinetu podobnie jak jego zwierzchnik (to ich łączy między innymi) nie gustuje nadmiernie w demokracji, jawności, dyskusji ze społeczeństwem, konsultacji z opozycją, zresztą dodatkowo spacyfikowaną na okoliczność zbliżającej się wojny. Odpowiada mu styl elitarny, ekskluzywny, narzucony przez silną i trudną osobowość ministra. Dyrektor Gabinetu należy oczywiście, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, do ścisłego kierownictwa. Przywódcą jest oczywiście Beck, a obok niego tradycyjny dyplomata wiceminister Szembek i najważniejsi ambasadorowie. Lipski w Berlinie, Łukasiewicz w Paryżu, Raczyński w Londynie. Akceptując generalną linię i godząc się, choć czasem wbrew własnym manierom, na prestiżowy styl Becka, nie wiem, czy dopiero w „Refleksjach”, czy jeszcze podczas urzędowania czyni Dyrektor Gabinetu użytek ze swojej krytycznej inteligencji. Za ryzykowny czy niegustowny uważa na przykład oczywiście tytuł broszury ambasadora Łukasiewicza „Polska jest mocarstwem”, a zwłaszcza mało odpowiedzialne wypowiediane publicznie poglądy ambasadora, że Polska powinna dążyć do rewizji traktatu wersalskiego, bo przecież tego samego, tyle że przeciw Polsce, żądają Niemcy i Rosja. I cokolwiek wallenrodycznie, zważywszy na swoją funkcję Dyrektora Gabinetu ministra Becka, pisze stryj Micio: „Mocarstwowość była przekleństwem naszej linii politycznej. W dziedzinie rozumowania praktycznego utarło się zdanie, że Polska, aby istnieć, musi być mocarstwem, to jest musi być dość silną, aby zapewnić sobie niezależny od sąsiadów byt państwowy. [Beck] nazywa Sienkiewicza genialnym apostołem polskiej megalomanii narodowej, ale przyznaje, że [pisarz] «jako artysta» wyczuwał intuicyjnie fałsz tej megalomanii i skorygował go przez wprowadzenie centralnej figury p. Zagłoby - ale nie zdaje mi się, abym spotkał w Polsce wiele zrozumienie dla tego chwytu pisarskiego”. Ale Dyrektor Gabinetu idzie głębiej w swojej analizie: dostrzega sprzeczność między polityką neutralnej równowagi, jaką wobec potężnych sąsiadów zalecił Marszałek, a mocarstwową ambicją, którą również Piłsudski pozostawił swoim następcom, bo tak zrozumieli jego słowa, że „Polska musi być wielka albo żadna”. Neutralność zatem „zdawałaby się wskazywać na potrzebę bardziej nieagresywnej polityki wobec sąsiadów, a tymczasem mocarstwowa polska polityka nie wyrzekała się koncepcji rozdzielenia Ukrainy i Kaukazu od Rosji, pieściła zamiar inkorporacji Gdańska, jeżeli nie Prus Wschodnich do Polski itd. Pewne prace, które można było najlepiej określić jako kiwanie palcem w bucie, prowadzone były w tym kierunku przez organa państwowe lub przez instytucje finansowane przez państwo. Opinia publiczna z tych poczynań i prac była niezmiernie dumna i zadowolona”. Powiedzmy ta część opinii, która upajała się polityką Becka w jej mocarstwowym nurcie, ale tej realista Dyrektora Gabinetu nie znosi. „O naszej mocarstwowości miały świadczyć - pisze złośliwie - nasze dążenia kolonialne. Stosunek do naszej polityki kolonialnej na rynku międzynarodowym był ironiczny. Nie o to jednak idzie. Dla charakterystyki naszych nastrojów podaję jako anegdotę: dnia 4 września 1939 roku do naszego gabinetu w MSZ zgłosił się naczelnik Wydziału pan Zarychta i prosił, abym przy opracowaniu celów wojny nie pomijał polskich żądań kolonialnych. Zapytałem go od kogo tych kolonii mamy żądać, czy od aliantów, Francji i Anglii, czy od neutralnych Włoch”. Stryj Micio uwolniony przez wrześniową katastrofę od służbowej pragmatyki zdradza temperament intelektualny, szuka wytłumaczenia bieżącej polityki w przeszłości. I mimo woli samokrytycznie stwierdza, że historia wywołała przemożny nacisk na polską politykę zagraniczną. „Mogę powiedzieć więcej - a Dyrektor Gabinetu Ministra wie co mówi - żadna nie tylko koncepcja, ale już wprost posunięcie polityki zagranicznej nie mogło zyskać popularności, o ile nie została zabarwiona jakąś historyczną reminiscencją”. Przy czym zdaje się uważać historię za obciążenie dla polityki. „Jednym z najgorszych

skutków niewoli jest wygórowane pojęcie suwerenności" - takie zdanie mógłby wygłosić kapryśny kawiarniany klerk, ale pod piórem wysokiego, byłego co prawda urzędnika, oznacza ono praktyczny kłopot, skrępowanie w sztuce dyplomacji. I rzeczywiście skutkiem tej tradycji jest pojęcie świętości granic, chociaż, jak przypomina autor, granice ustalone w Wersalu i Rydze nie były ani etnograficzne, ani historyczne, ani naturalne. Pięknie potrafi pisać Dyrektor Gabinetu: „Ziemia polska - wszak byliśmy zawsze narodem rolników i pogańskim bogiem naszym nie był ani wicher, który pędził nasze okręty przez morze, ani słońce, w którego ciepłe dojrzewały południowe owoce, ani złoto - złośliwy władca wszelkich rozkoszy ziemskich - ale ziemia żywicielka, karmicielka, pracodawczyni. Zawsze się nam wydawało, że psychiczną trudnością w przeprowadzaniu reformy rolnej w Polsce jest to, że ziemię kochali i pożądali jej w Polsce wszyscy - zarówno chłop jak szlachcic, zarówno ziemianin jak najzjadlejszy mieszczuch, który dopiero osiadłszy na ziemi czuł się naprawdę Polakiem." I tu wyraźnie kusi Dyrektora spóźniona refleksja, której już do końca nie wypowie, że cesje terytorialne bywały dla państw i narodów korzystne. I oczywiście podaje swój przykład historyczny: największy nasz monarcha, jedyny któremu potomność przyznała przydomek Wielki, ostatni król Piast, wszak budował wielkość Polski przez szeroko zakrojone cesje terytorialne. Można się tu tylko domyślić, że Dyrektorowi Gabinetu Ministra Spraw Zagranicznych Józefa Becka, który nie ustąpił Hitlerowi, przychodzi do głowy, że ustępstwa wobec Hitlera były nie do pomyślenia głównie ze względów prestiżowych, psychologicznych. Tymczasem o Gdańsku stwierdza jako kompetentny urzędnik, który pracował przez wiele lat na tym odcinku: nie można było mówić, że jest po 1918 roku miastem polskim. W sprawie eksterytorialnej autostrady przez korytarz były dyrektor byłego gabinetu byłego ministra nie zajmuje stanowiska. Ale gdyby to od niego zależało, ze względów obiektywnych wydaje się, że byłby się nad tym wszystkim zastanawiał. Bo w służbowej instrukcji dla pracowników dyplomatycznych, dwa lata przed wojną, ostrzegał przed powoływaniem się w duchu na „Pana Tadeusza" gdzie zostało powiedziane, że „Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze".

20. Minister Beck, z natury wysoce asertywny, uważał za swoją służbową i patriotyczną powinność okazywać obcym dumę i pewność siebie. A tę czerpał z wewnętrznego przekonania, że linia polityczna, którą obrał, jest jedynie słuszna i kapryśną rzeczywistością nie należy się zbyt przejmować. Również, kiedy drastycznie zmienił swoją linię narażając się Hitlerowi. Inaczej mówiąc, że zawsze miał rację, bo ewentualne wahania rozstrzygał we własnym zakresie, czyli sam na sam, to znaczy sam ze sobą. Sobie tylko znaną tajemnicą odgadując, jak by na jego miejscu postąpił Marszałek Piłsudski. Jak zatem mogła się układać współpraca Ministra z Dyrektorem Gabinetu? Bo ten również podziwiał Marszałka, ale do zawodowych piłsudczyków nie należał. Etos legionowy, styl wojskowy, nie wydaje się być mu bliski. To człowiek z innej sfery, samodzielny intelektualnie, zadający sobie pytania o sens dziejów narodowych, stan świadomości społecznej, czyli sprawy niekoniecznie przydatne w pragmatyce dyplomatycznej, a często niepotrzebnie ją komplikujące. Jako wysoki urzędnik ministerstwa inaczej niż sam minister skłonny do negocjacji, kompromisów, nie wyklucza ustępstw, może nie bałby się i cesji. Słowem Minister i Dyrektor to ludzie zupełnie różni, a jednak współpracowali ze sobą ściśle aż do końca. Chyba na zasadzie kontrastu i dopełnienia. Minister słuchał czasem Dyrektora, na przykład za jego radą usunął ze swojej mowy sejmowej niepotrzebne ataki na mniejszość niemiecką. Z kolei Dyrektorowi imponował Minister odpornością na niepopularność, na polemiki, które bez specjalnego trudu traktował jako naiwności i oszczerstwa niegodne publicznej riposty. I ta odporność dawała poczucie, które przejął dyrektor od ministra, że właśnie w ten sposób, nie czekając według legionowej śpiewki na uznanie, nie wsłuchując się w niby dobre rady wypowiedane podszeptem, dochowując wierności swojej misji, że w ten mocny sposób tworzy się historię. Im dalej, to jest im bliżej wybuchu wojny, tym częściej Dyrektor Gabinetu, jak wynika z opracowania, które po sobie pozostawił, traci jasność w ocenie ludzi i wydarzeń. Oto powołuje się na opinię sekretarza poselstwa angielskiego w Warszawie, który już po klęsce wrześniowej, w Londynie, powiedział mu, że dyplomaci angielscy byli wtedy, to jest jeszcze w Polsce, zdziwieni, kiedy Beck przyjął angielskie gwarancje, bo to oznaczało ciężką przegraną z Hitlerem. Czy zatem zdaje się Dyrektor Gabinetu przychylić do zdania Cąta-Mackiewicza, że tymi swoimi podstępными, kłamliwymi gwarancjami Anglia świadomie i cynicznie, zgodnie ze swoją wiekową tradycją prowadzenia polityki międzynarodowej, rzuciła Polskę Hitlerowi na pożarcie? Żeby sama zyskać na czasie? Lecz z drugiej strony Dyrektor uważa sojusz z Anglią za sukces ministra. Sojusz bezpośredni, obustronny, „wyciągnięty z genewskiego bagna”. Czyli znów podziela typowo beckowską nieufność i pogardę wobec organizacji międzynarodowych, wielostronnych układów. A jednocześnie przychodzi mu do głowy, że być może należało w ogóle prowadzić politykę na „wysokim diapazone moralnym”, nie kierować się zasadą egoizmu narodowego, być „rycerzem bez zarzutu”, nawet jeśli porażka miałaby przyjść szybciej. Czyżby wyrzuty sumienia z powodu polityki czeskiej prowadzonej przez ministerstwo, w czym Dyrektor miał swój udział? Jeśli tak, to tylko chwilowe wyrzuty, bo oto wyrafinowany konserwatysta, Dyrektor Gabinetu przynosi wstyd swojej inteligencji i wrażliwości. Potyka się o konkretną, nieszczęsną sprawę Zaolzia. W jego rozumieniu: „Był to wielki protest przeciw egoistycznej polityce zachodnich mocarstw, przeciw kupczeniu przez nich interesami państw małych. Co więcej była to rękawica rzucona Niemcom”. Czyli niespodziewanie uderza Dyrektor Gabinetu w nieczęsty u siebie ton heroiczny i to w kontekście wątpliwym moralnie. Niewątpliwym o tyle, że dokonany na własną rękę (ale to może jeszcze gorzej) udział w rozbiórce Czechosłowacji, jakim był ów czyn

zaolziański. I dalej brnie Dyrektor Gabinetu w rozumowanie podobne temu, jakie przytrafiło mu się z okazji Monachium. Wtedy nie tylko samo sprzedanie czeskiej niepodległości, ale może jeszcze bardziej cena tej transakcji i niezaprośzenie do udziału w niej Polski (chwała Bogu, tego by tylko brakowało!) przyprawia go o wzburzenie. Teraz podobnie: nie tyle sam manewr zaolziański jako taki, ile poważne usterki w jego wykonaniu budzą niepokój Dyrektora i to nawet wyraźna, nie wiadomo tylko czy w swoim czasie ujawniona, różnica zdań między Ministrem i Dyrektorem. Szef uważał całą operację za wzorcową z punktu widzenia pracy sztabowej i twierdził, że „Europie oko zbiegło, gdy się dowiedzieli o naszej koncentracji i naszym manewrze okupacyjnym”. Tymczasem według trzeźwego i dobrze poinformowanego Dyrektora Gabinetu zawiodła brygada pancerna, działa nie miały oliwy w kompresorach i te wszystkie okoliczności były dla czujnych obserwatorów, zwłaszcza dla Niemców, wymownym sygnałem, pomyslną informacją. I nikt, żaden krytyk Becka, żaden z tych wielu, którzy żerują na sprawie Zaolzia, aby oskarżyć Becka nieledwie o zdradę, a w każdym razie o pogwałcenie honoru Polski, nie zdał sobie i nie zdaje sobie sprawy, gdzie leżała istotna przegrana MSZ" - obraża się Dyrektor Gabinetu. Słowem gdyby nie zawiodła polska technika wojenna, wszystko byłoby w porządku, ponieważ jakby na pocieszenie „nie zawiodły nogi piechoty ani konie ullańskie”. A dalej łądzi się ciężko Dyrektor Gabinetu, że „oburzenie Zachodniej Europy przeszło jak zawsze bez wrażeń”. Tak mu się tylko zdawało. Europa właśnie, chociaż niechętnie, budziła się z pacyfistycznej drzemki i zaostrzała kryteria poprawności politycznej. „Nawet policzek wymierzony przez nasze ultimatum polityce monachijskiej został wybaczony”. Skądże znowu, został zapamiętany przez wszystkie strony układające się w Monachium. To prawda, że Europa zaczęła wstydzić się za Monachium. Ale Polska ze swoim bezwzględny, niezręczny, zupełnie nie w porę wystąpieniem była najmniej powołana, żeby pouczać innych. Niestety Dyrektor Gabinetu dalej, również po tych kilku latach, nie zdaje sobie sprawy, że jego ówczesne rozumowanie było pozbawione sensu, podporządkowane własnym, niepobożnym życzeniom. „Wkrótce też jeszcze przed marcem 1939 roku nie tylko Francuzi ale i Anglicy zrozumieli, że Polska miała w tym wypadku słuszność. I to słuszność nie tylko że ziemia ta nam się z prawa należała i była przez Czechów podstępnie okupowana, nie dlatego, że zgodzili się oni na głoszone przez nas hasło obrony naszej mniejszości w Zaolziu, ale dlatego, że wydanie Sudetów Niemcom oddało państwo czeskie w taką zależność wobec Rzeszy Niemieckiej, że cokolwiek z tego państwa dało się uratować, było osłabieniem jedynie Rzeszy.” Jakby pokrętnie tego nie tłumaczyć, Polska, cóż z tego, że na własną zgubę i na własną rękę, wzięła udział w rozbiórce Czechosłowacji. I zupełnie przy tej okazji pominęła własne rozbiorowe doświadczenia, którymi ze zmiennym szczęściem, ale przecież zawsze słusznie, zawstydzała opinię publiczną dobrze urządzonej przez cały XIX wiek Europy. „Manewr zaolziański” przypomniano sobie w 1968 roku, kiedy wojsko polskie w ramach Układu Warszawskiego wkraczało do Czechosłowacji. Co prawda taktownie, żeby nie budzić niestosownych analogii, nie ryzykować przyszłych kłopotów z bratnim, choć chwilowo zbłąkanym politycznie krajem socjalistycznym, okupowali Polacy okolice miasta Hradec Králové, gdzie nigdy nie mieszkała polska mniejszość ani większość. Zdarzało się podobno weteranom obu operacji z różnych wojskowych pokoleń wymieniać wrażeń. Jedni i drudzy nie wspominali dobrze tamtych zwycięstw. Hurrapatriotyczną propagandę z 1938 roku i patos internacjonalistycznego obowiązku 30 lat później, niemal w rocznicę. Jedno i drugie pod polskim sztandarem. W 1968 roku można było się tłumaczyć Układem Warszawskim, ale niewiele to pomagało ludziom, którzy mieli świadomość, co się

stało. Poniżając Czechów, wojsko polskie samo się poniżało, przyznając się do swojej sojuszniczej podległości. Spotkałem w tamtych dniach na słonecznej warszawskiej ulicy Stanisława Skalskiego, bohatera Września, Bitwy o Anglię, dyrektora „Cyrku Skalskiego” - grupy myśliwców, która uganiała się za Niemcami pod afrykańskim niebem. Za swój powrót do kraju i powrót do wojska zapłacił Skalski karą śmierci zamienioną na dożywocie, ośmioma latami więzienia. Co miało przemożny wpływ na ostatnie lata jego życia: pił, chorował na ostry antysemityzm, miał kompromitujące dla swojego bohaterskiego życia konszachty polityczne. Ale wtedy, w roku 1968, jeszcze w pełni sił fizycznych i umysłowych, od paru lat zażywał zasłużonego odpoczynku wojownika. Przywrócono mu stopień i odznaczenia, mieszkał przy Placu na Rozdrożu, gdzie obok, przed laty, w piwnicach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej torturowano i mordowano. I ten weteran, wydawałoby się wygodnie pogodzony z historią, miotał najstraszliwsze przekleństwa na zhańbienie polskiego munduru. A że był to mundur Ludowego Wojska Polskiego, działającego w ramach Układu Warszawskiego, nie stanowiło dla Skalskiego żadnego tłumaczenia ani pocieszenia. Sam go przecież nosił. I można było jeszcze przez jakiś czas dostać po mordzie w czechosłowackiej knajpie za rok 1968, przy czym powoływano się również na wydarzenia o 30 lat wcześniejsze. A co się tyczy Czechów, którzy miewają odmienne od polskich kompleksy, podobno pewien deficyt bohaterskich gestów, trzeba im oddać historyczne zasługi dla Europy. Za sprawą krzywd, jakie im wyrządzono i którym nie potrafili się przeciwstawić, dwukrotnie zmieniła się europejska świadomość. W 1938 roku, po Monachium, zmienił się w Europie stosunek do Hitlera. A po interwencji wojsk Paktu Warszawskiego ze Związkiem Radzieckim na czele, nieodwracalną moralną klęskę poniosła, przynajmniej na naszym kontynencie, ideologia komunistyczna.

21. Pisane po wojnie z dystansem i sentymentem wspomnienia młodych dyplomatów nie zawierają takich emocji i sprzeczności, jak refleksje Dyrektora Gabinetu. Pełne są uwagi dla Becka, również, po latach, dla słuszności jego polityki, z uwagami i wątpliwościami oczywiście. Wreszcie pełne osobistej sympatii. To zrozumiałe, bo Szef, tak nazywano Becka w Ministerstwie, szef wielce wymagający, swoim pracownikom zwłaszcza z własnego naboru okazywał kurtuazyjną uprzejmość. To była jego ekipa, a krytyka, w kraju czy za granicą, polityki, którą prowadził, jeszcze cementowała resortową solidarność: wybranych i wtajemniczonych. Bo tajemnica, poufność, dyskrecja należały do stylu Becka i to udzielało się podwładnym. Jeśli często i gęsto atakowano Ministra z różnych stron, można było uważać, że te ataki znoszą się wzajemnie. Czyli, że miał rację. Choćby wbrew całemu światu. A może właśnie tym bardziej. Zresztą młodym dyplomatom mogło imponować, że Szefowi nikt i nic na świecie nie imponowało. Ceniono zwierzchnika za jego lojalność wobec podwładnych: bronił ich, odpowiedzialność za niepowodzenia brał na siebie. Ponieważ kiedyś był oficerem, do dyplomacji, zgodnie ze swoim upodobaniem wniósł styl cokolwiek wojskowy. I tym bardziej zapamiętane zostały przez życzliwych pamiętnikarzy chwile, kiedy stawał się przystępny i swobodny. Paweł Starzeński, osobisty sekretarz, wspomina nieformalne pogawędki przy czerwonym winie. Jan Meysztowicz opisuje, jak to minister tańczył z pasierbicą, która wybrała do tańca ojczyzna, zamiast młodszego konkurenta. Starzeński cenił sobie obok „zaszczytnej naszej służby” również przyjemności życia dyplomatycznego. Wspomina jak to minister wyznał mu żartobliwie, że wcale nie jest tak przyjemnie być ministrem spraw zagranicznych, a widząc swojego sekretarza w atrakcyjnej sytuacji towarzyskiej, u boku pięknej kobiety, dodał, że sam wolałby zostać sekretarzem ministra Becka. Miał Beck rację, tak już jest. Podobnie asystent kierownika planu czy kierowca wozu transmisyjnego więcej korzysta z uroków życia, niż sam wielki reżyser. Słowem, wrażenie, że Beck był wyniosły, piszą jego podwładni, to nieprawda, może tylko wobec obcych, w obronie polskich interesów. 26 stycznia 1939 roku Beck przeprowadził kolejną z tych rozmów decydujących, jak się okazało, o historii świata. To znaczy ponownie odrzucił propozycję i żądania Hitlera, tym razem przedstawione przez antypatycznego (wszyscy to podkreślają) Ribbentropa, o którym naiwnie spekulowano, że ma na Hitlera zły wpływ. A w czasie rozmów niższy personel ministerstwa uzyskał samodzielność w spełnieniu innych zadań dyplomatycznych, które łączyły się z tą doniosłą wizytą, być może kolejną wizytą ostatniej szansy. Świętę Ribbentropa zaproszono do Hotelu Europejskiego. Nowe służbowe uniformy niemieckiej dyplomacji, ze srebrnymi dystynkcjami i szamerunkami przypominały mundury SS. Ale nikt się tym oczywiście nie przejmował, wydawały się te ubiory po prostu śmieszne i pretensjonalne. I dalej, tak wspomina Jan Meysztowicz, wówczas w centrali MSZ, mianowany szefem operacji: „Po naradzie sztabowej ustaliliśmy na pierwsze elanie pasztet z zająca, owinięty w płaty najprzedniejszej szynki wędzonej w jałowcu, ozdobiony borowikami i galaretką z czerwonych porzeczek, a do tego czysta zmrożona na pestkę oraz schłodzona starka, bo zamrożona straciłaby bukiet. Na drugie zaryzykowałem sztukamię z brukselką, gotowany w maładze, do tego najwytworniejszy z sauternów. Na deser andruty w górze bitej śmietany, przybranej wisienkami maraskino. Jako akord ostatni kawa i koniak Courvoisier z trzema gwiazdkami”. Meysztowiczowi niedługo potem przyszło bić się we Francji, pod Narwikiem, ale podczas wizyty Ribbentropa był jeszcze młodym, radosnym dyplomata, przedstawicielem polskiej szkoły dobrego ziemiańskiego życia i zapewne jako taki czuł wyższość nad sztywnymi niemieckimi kolegami. Chciał im też dać w ten sposób do myślenia. Żartowano przecież, że nie

tylko lubią ciężką teutońską kuchnię, ale „od dłuższego czasu, jak orzekł minister Goebbels, wolą armaty od masła”. Gastronomiczne przewagi nad Niemcami miały dla Meysztowicza, oczywiście z przymrużeniem oka, aspekt patriotyczny. Psuły się już stosunki polsko-niemieckie i na swoim odcinku, swoimi metodami obiecujący dyplomata realizował dumną politykę swojego ministra. Wrażliwy na urodę świata, utalentowany dziennikarz Jan Meysztowicz bronił Becka, na ile to było możliwe w powojennej Polsce, co wymagało nie lada dobrej woli i zręczności. W swoich wspomnieniach z Września zapisał Meysztowicz dwie przejmujące sceny, których był świadkiem. Pierwsza, kiedy ambasador angielski Howard Kennard płakał wstydząc się za swój rząd, że nie wykonuje wobec Polski przyjętych sojuszniczych zobowiązań. I druga, już podczas odwrotu polskich władz na wschód. Oto chciał Meysztowicz zameldować służbową sprawę ministrowi spraw wojskowych, niegdyś dzielnemu oficerowi Legionów, generałowi Tadeuszowi Kasprzyckiemu, lecz adiutant powstrzymał urzędnika MSZ-u, ponieważ minister generał właśnie spacerował po ogrodzie z panną Ireną Kajzerówną, młodą aktorką, romansem swojego życia. Generalicja polska, władza w ogóle, była bardzo romansowa, zresztą prezydent też dawał przykład, żeniąc się z żoną swojego adiutanta. Oczywiście na komplikacje życia prywatnego samego Marszałka nikt nie śmiał się powoływać. Beck rozwiódł żonę generała Bukackiego, który dzięki temu mógł wejść w nowy związek. A w związku ze swoim, udanym zresztą, drugim małżeństwem musiał Beck przejść na protestantyzm, co kosztowało go z czasem kłopoty dyplomatyczne w Watykanie. Wbrew dumnej piosence Pierwszej Brygady, przyszedł czas nie tylko uznania, ale i zapłaty za ofiarność i bohaterstwo. Trudno też po ludzku dziwić się legionistom, tym pretorianom Marszałka, których przez parę lat w okopach żarły wszy, trapiły choroby, chodziła wokół nich śmierć, podczas gdy ich rówieśnicy żyli sobie cywilnie, że z czasem zakosztowali w intrygach i urokach władzy. Której ważnym i wdzięcznym atrybutem były kobiety raczej z następnego pokolenia. Toteż w relacjach z przygotowań do wojny i z przebiegu kampanii często powtarzają się informacje o kłopotach małżeńskich czołowych dowódców, co mogło niekorzystnie odbijać się na pełnieniu przez nich wojskowego obowiązku. Na pewno generał Kasprzycki, którego żona kilka miesięcy wcześniej popełniła samobójstwo, a syn, uczeń gimnazjum, nie chciał widzieć ojca, poza tym aktywny teozof, nie nadawał się na drugiego po marszałku Rydzu-Śmigłym żołnierza Rzeczypospolitej. Zwłaszcza, gdy akurat ojczyzna znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jako czołowy piłsudczyk nie odegrał też potem żadnej roli i chyba do niej nie pretendował; tyle, że uczestniczył w pogrzebie ministra Becka. Ten wrześniowy epizod, właśnie przez swoją drażniącą prywatność, która jest świętym prawem człowieka (a skorzystał z tego prawa generał Berenger, nadzieja Francji lat 80. XIX wieku, który dla kobiety wycofał się z polityki, zrezygnował z uzdrowicielskiego zamachu stanu, opuścił swoich zwolenników), ale do której to prywatności w momencie klęski, Kasprzycki, minister spraw wojskowych, nie miał prawa. I ta ogrodowa scena, której nie pozwolono generałowi zakłócić, wydaje się czymś bardziej drastycznym, niż utrwalona w historycznej pamięci, ograna publicystycznie i literacko szosa zaleszczycka. A potem jeszcze odpowiedź rządu Sikorskiego na podanie generała o przyjęcie go do służby wojskowej: „Pan jest odpowiedzialny za nieprzygotowanie do wojny nowoczesnej, a więc i za poniesioną klęskę, która nie jest wolna od hańby. Niech Pan Generał pozostanie w Baile Herculane (Rumunia). Ojczyzna nie chce Pana usług”. Sucho i patetycznie, ale chyba sprawiedliwie. Kasprzycki nie był zresztą jedynym, którego obciążono winą za wrześniową katastrofę i pozbawiono szansy rehabilitacji. Chyba najgorzej został potraktowany nieszczęsny, doszczętnie

ośmieszony premier Sławoj Składkowski, który pragnął służyć zgodnie ze swoim wykształceniem jako lekarz wojskowy, ale w odpowiedzi poproszono go, aby pozwolił o sobie zapomnieć.

22. Naturalnie młodzi dyplomaci nie czuli na swoich barkach problemów wagi państwowej. Te wszystkie kompanie honorowe, czerwone dywany, konne gwardie i szpalery, protokół i ceremoniał dyplomatyczny robią jednak wrażenie. Trochę podobnie jak minister, oczywiście bez właściwego mu wyniosłego stylu, przyjmowali prostodusznie te honory w imieniu Rzeczypospolitej, jako Jej należne, przy czym nie bez własnej satysfakcji. Ale z natury rzeczy, na mniej oficjalnym, niższym szczeblu, dyplomata widzi więcej, dotyka rzeczywistości, doznaje zaskoczenia. I tak, kiedy młody pracownik MSZ-u Zbigniew Czeczot-Gawrak zatrzymuje się w Berlinie po drodze z Warszawy do Strasburga, uderza go na ulicy obecność tysięcy mundurów. „Gdzie spojrzysz czarny, zielony, brunatny, z jaskrawo bijącą w oczy swastyką”. A przypadkowy rozmówca w kawiarni, nobliwy starszy pan tylko się cieszy: „Niemiecka młodzież? Ona jest pełna ideałów. Niech pan popatrzy, wszyscy są w mundurach”. Czeczot-Gawrak idzie jeszcze do teatru, obserwuje nacjonalistyczny entuzjazm publiczności i już wie, co o tym wszystkim myśleć: ma jasność większą niż minister i Dyrektor Gabinetu, ale swoje WTażenia i wnioski musi zostawić dla siebie, bo na jego szczeblu nie uprawia się wielkiej dyplomacji. Zdarzają się też krępujące sytuacje wynikłe z pokrętnych zawłości polskiej polityki. Oto w Austrii po Anschlussie czy w Niemczech, okazuje się Polakom sympatię jako sojusznikowi. Chociaż nie łączą obu krajów żadne oficjalne czy poufne zobowiązania wzajemne, po prostu od czasu do czasu tak to wygląda, zbliżają wspólne interesy. Ale skoro wiadomo, że w Niemczech dzieją się dziwne rzeczy, więc hitlerowskie komplementy przyjmuje się z dyplomatyczną rezerwą. Jednak są to komplementy. Podczas gdy prawdziwą przykrość i sprzeciw budzi tendencyjne nastawienie prasy francuskiej, która ocenia polską politykę jako jednoznacznie prohitlerowską. I te złośliwości, np. niewybredny kalambur na temat ministra Becka: „Beçques et ongles” (dziób i pazury). Czyli aluzja zarówno do nazwiska, drapieżnego profilu ministra, który upodobał sobie karykaturzyści, jak i do jego manier politycznych. O ile wiem nie było jednak w tych sprawach oficjalnych protestów. Ale rzeczywiście, jak wytłumaczyć za granicą, że jeśli nawet zdarza się Polsce iść na rękę Niemcom, to nie do końca, a w ogóle chcemy tym sposobem ożywić nasz sojusz z Francją, związać się z Anglią. Ale to nie było proste i nie mogło być, bo gra skomplikowana, ryzykowna, nawet dla głównego architekta tej polityki. Cóż dopiero dla szeregowych pracowników. Czeczot-Gawrak, skromny urzędnik, ale człowiek o poglądach demokratycznych, mógł pozostawać w zgodzie ze sobą. Im wyżej w hierarchii ministerialnej, tym trudniej było, nawet prywatnie, o samodzielność w myśleniu. I nie można powiedzieć, żeby człowiek inteligentny, kulturalny, Paweł Starzeński, osobisty sekretarz ministra Becka, dobrze przemyślał czego świadkiem był w Genewie podczas obrad Ligi Narodów. „Napięcie emocjonalne było wtedy tak wielkie, że jeden z dziennikarzy zagranicznych zakończył swe życie wystrzałem z rewolweru na galerii prasowej, przy pełnej sali obrad. Jego koledzy opowiadali, że tak się przejął losem ujarzmionych Abisyńczyków, że nie był w stanie patrzeć nadal na rozgrywającą się farsę. Gdy Negus, potomek królowej Saby, wypędzony ze swojego kraju wszedł na trybunę, żeby przemówić do przedstawicieli całego świata, powitał go huragan oklasków. Drobnej postaci, stał i przemawiał w języku dla nikogo niezrozumiałym, opodal stał jego sekretarz. Gdy skończył swą przemowę został nagrodzony ponownym huraganem oklasków, ale też i na tym zakończyła się, przyjazna dla niego, demonstracja Ligi.” Gdy czyta się, co na ten sam temat napisał Cat-Mackiewicz, można odnieść wrażenie, że on i Paweł Starzeński mówią o jakichś zupełnie innych wydarzeniach. Píše Mackiewicz: „Pod koniec czerwca 1936 roku mają miejsce w Genewie sceny poniżające ludzkość, obrażające poczucie moralne

ludzkości. Negus Etiopii wstępuje na trybunę, aby upomnieć się o krzywdę wyrządzoną jego krajowi, który uległ napaści, aby upomnieć się o obiecaną przez Ligę Narodów pomoc przeciw napastnikowi. Dziennikarze włoscy gwizdzą na jego widok. Prezydent Szwajcarii Motta każe Negusowi opuścić terytorium Szwajcarii w ciągu czterech godzin po posiedzeniu. W gmachu Ligi Narodów rozlega się strzał rewolwerowy. To fotograf dziennikarz Stefan Lux odebrał sobie życie. Żyd węgierski. Zostawia list, że jego samobójstwo to demonstracja, którą chce zwrócić uwagę Ligi Narodów na prześladowanie Żydów w hitlerowskich Niemczech. Avenol, sekretarz Ligi Narodów, mówi przez zęby: - Jak najmniej hałasu z powodu tego incydentu".

23. To cytat z arcydzieła publicystyki politycznej, jakim jest „Polityka Becka”; właściwie chodzi tu nie tyle o samego Becka, ile o wytłumaczenie jak i dlaczego doszło do polskiej klęski, która rozpoczęła II wojnę światową. A jednak, zgodnie z tytułem, autor podkreśla rolę Becka. W historii która zmieniła los milionów ludzi, wielu pokoleń, wpłynęła na miejsce ich zamieszkania, obywatelstwo, warunki życia, ideologię, Beck to pojawia się to znika w narracji, ustępując miejsca efektownym, jak zawsze u Cata, dygresjom historiozoficznym. Gdzie aż skrzy się od erudycji, polemiki, anegdoty, często z udziałem autora, niezależnego uczestnika i świadka najnowszej przeszłości, która pod jego piórem zyskuje aktualną temperaturę. Cat chętnie cytuje swoje artykuły z tamtych lat na dowód, że właściwie zawsze miał rację. To znaczy miał rację już wtedy, nie tylko teraz, to żadna sztuka, kiedy wiadomo, jak sprawy się potoczyły i skończyły; a ponieważ Cat z upodobaniem pozwala się ponosić swojemu pisarskiemu temperamentowi, robi z Becka chwilami śmiesznego durnia, również sam udział Becka w historii świata może wydać się przypadkowy, niezrozumiały. Ale był faktem. Czy zatem wynika z książki, że Beck jest odpowiedzialny za to, że Hitler uderzył najpierw na Polskę, zamiast, jak początkowo planował, według Mackiewicza, na Zachód? Albo, jak chciał, w pakcie z Polską na Związek Radziecki? Stwierdza Mackiewicz, że Beck wcale nie był bardziej ustępliwy wobec Hitlera niż zachodni politycy. Co więcej przyznaje, że on sam [Cat], aż do Anschlussu, czyli do połowy marca 1938 roku, popierał zbliżenie polsko-niemieckie. Kto wie, czy nie bardziej niż Beck, dla którego była to jednak gra bez żadnych sentymentów, a Cat, człowiek z Wilna, miał oczy obrócone na Wschód; Zachodowi też, podobnie jak Beck, nie ufał. Tutaj Cat zwiększa swoją wiarygodność potwierdzając, że to nie przez Becka dostał się do Berezki Kartuskiej, że Beck odciął się od aresztowania Cata, który krytykował uzbrojenie polskiej armii, czyli dopuścił się defetyzmu. Obaj uczestniczyli w pogrzebie Sławka, który odsunięty na polityczny margines, popełnił samobójstwo. Obaj go cenili. Beck pojawił się tam jako rządowy polityk. Cat podkreśla, że nie miał osobiście nic przeciw Beckowi, a jeszcze dwornie deklaruje swoje ubolewanie z powodu przykrości jakie jego książka może sprawić pani Jadwidze Beckowej, którą bardzo ceni. Więc z czystym sumieniem, bez prywatnych porachunków, obiektywnie, będzie Cat kolekcjonował „śmieszności” charakteru Becka, ogromnie drażliwego na punkcie prestiżu i respektu jaki jemu, ministrowi Rzeczypospolitej, okazuje się podczas zagranicznych wizyt. Oczywiście rozpisze się Cat na temat owej kompanii honorowej w Berlinie, która rozpoznała w Becku żołnierza i co sprawiło mu taką przyjemność. Ale z większym jeszcze sarkazmem, analizuje jak to Beck życzył sobie być powitany na dworcu w Londynie przez Edena i jak wydało się Beckowi, że łączy go z Edenem jakaś psychiczna więź byłych oficerów. Były to jednak zarzuty tyleż efektowne, co nieistotne wobec poparcia, jakiego Cat generalnie tak długo udzielał polityce Becka. Choć krytykuje Becka za robienie na złość Francji. Choć, jak stwierdza: „Nie piszę o obrzydliwej polityce Becka wobec Litwy, bo by mnie to kosztowało za dużo nerwów”. I dalej: „Z przykrością opisałem całą tę historię z rozbiorem Czechosłowacji”. W polityce niemieckiej Cat osobiście wytyka Beckowi niekonsekwencję. Wobec relacji Starzeńskiego z Genewy, który nie chce, czy nie może zrozumieć, czego był świadkiem, słowa Cata wyglądają przenikliwie i szlachetnie. Ale dość dziwnie brzmi takie zdanie: „Beck nie rozumiał, że współpracować z Hitlerem można tylko wtedy, jeżeli się chce towarzyszyć mu na wojnie”. Dlaczego nie przyjdzie Catowi do głowy, nawet w ćwierć wieku po tamtych wydarzeniach, kiedy pisze swoją książkę, że z Hitlerem, „bestią nerwową”, jak go sam określa, w ogóle nie należało współpracować. A jeśli się już jakoś „współpracowało”, z bestią przecież, która

potrafiła różne polskie kompleksy, w tym Becka, do czasu wykorzystywać, to czemu niby to miało być logicznym skutkiem przyjętego wcześniej zobowiązania, żeby towarzyszyć Hitlerowi w ideologicznej wojnie. Krytykuje też Cat ministra, że za różne grzeczności, które Polska świadczyła Trzeciej Rzeszy w polityce międzynarodowej, nie domagał się i dlatego nie uzyskał żadnej kompensaty, czy rekompensaty. Ani ekwiwalentu. Ależ to całe szczęście, że w swojej nieświętej naiwności zadowolił się niewiele znaczącymi miłymi słówkami i żołnierskimi spojrzeniami! Ładnie byśmy wyglądali politycznie i moralnie, gdyby Polska coś terytorialnie Hitlerowi zawdzięczała. Przyszłoby przeproszać, wszystko oddawać, i to z nawiązką. Wyzłóśliwia się Cat na Becka w związku z angielskimi wizytami ministra, gdyż przestaje popierać jego politykę nie tylko po Anschlussie: również od momentu, w którym Beck zaczyna zabiegać o zainteresowanie Anglii. Tymczasem Cat Anglii nie znosi. Zapewne anglofobia Cata pogłębiła się na skutek spędzonych tam kilkunastu wojennych lat: nie nauczył się Cat angielskiego, w gazetach czytał tylko tytuły. Polski emigracyjny Londyn skarykaturował po powrocie do kraju jako „Londyniszczę”. Spotykały go w Londynie niepowodzenia polityczne i osobiste. Ale jeszcze przed wojną musiała być Anglia Catowi niemiła. Podziwia i gorszy się angielskim egoizmem w stosunkach międzynarodowych. Anglia odpowiada za wzrost potęgi Niemiec, bo zgodziła się na rozbudowę niemieckiej floty wojennej wbrew sojuszniczym ustaleniom. Anglia do spółki z Francją manipuluje Ligą Narodów. Jeśli przyjdzie Anglii toczyć wojny, to zawsze w koalicji i cudzymi rękami. Anglia jest tradycyjnie obojętna, albo przeciwna polskim interesom. I to jeszcze byłby Cat w stanie wybaczyć, nie spodziewając się po Anglii niczego dobrego. Ale wiążąc się z Polską Anglia przekracza granicę własnej perfidii. Bo jako perfidny Albion czyni to, aby rzucić słabą Polskę na pożarcie Hitlerowi, byle sam zyskać na czasie, lepiej przygotować się do wojny. Więc wszystkie „śmieszności” Becka nie są takie istotne wobec faktu, że z Anglią paktuje. W ferworze polemicznym Cat zdaje się nie rozumieć, dlaczego „na miłość Boską” Beck odrzuca ofertę bratniej pomocy radzieckiej, uczynionej zresztą nie wprost, ale za pośrednictwem zachodnich sojuszników. Słusznie krytykując czeską, litewską, rumuńską i niemiecką (ale dopiero po Anschlussie) politykę Becka, autor głównego sprawcę wszystkich nieszczęść zdaje się widzieć jednak w Anglii. Hitler jest po prostu zły, taka już jego natura. Anglia jest fałszywa. I plakat „Anglio, twoje dzieło”, na którym Niemcy przedstawiali w Polsce skutki wojny idzie po tej linii. Za co Cat nie ponosi rzecz jasna odpowiedzialności. Ów plakat (ranny polski żołnierz, miny, a w tle sylwetka przypominająca Chamberlaina) miałby jednak pewną szansę propagandową w porównaniu z „Francjo, twoje dzieło”, bo to by w Polsce nigdy nie przeszło. Co by nie powiedzieć złego o Anglii, ona również, choć to wyspa i morska potęga, praktycznie w osamotnieniu przez rok stawiała czoła Hitlerowi. Na wielu frontach ze zmiennym powodzeniem. Poświęceniu polskiego sojusznika zawdzięczała tych parę miesięcy, podczas których zdołała się przygotować również psychicznie. O czym przypominał generał Rowecki mając nadzieję, że zostanie to w końcu zwycięskiej wojny docenione. I we własnym oczywiście (to chyba naturalne) interesie dała polskim lotnikom i marynarzom możliwość walki. Kojące po klęsce przekonanie, że zdarzył się Polsce nieszczęśliwy wypadek, wojna dopiero się zaczęła i będzie trwała dalej aż do pomyślnego końca. A jakie to okazało się zwycięstwo należy już do zupełnie innej historii. Churchill, który oczywiście nie dla jakiejś szczególnej swojej wrażliwości moralnej, tylko uzbrojony w egoistyczną (a czy jest jakaś inna?) miłość do własnego kraju, jako jedyny bodaj mąż stanu w Europie, był od początku zupełnie niewrażliwy na uroki Hitlera. Polityczne czy osobiste, bo zdarzali się również tacy politycy, na

których Hitler robił dobre wrażenie. Churchill, o którym w Polsce, nie bez powodu, rozmaicie się myślało i mówiło: od nadziei do wielkiego rozczarowania, pokazał, że można być antykomunistą i antyfaszystą zarazem, że jedno drugiego nie wyklucza, jak to się nieraz w Europie zdarzało. A poza tym, idąc na wojnę, której wynik był niepewny, obiecywał swoim rodakom tylko krew i łzy. Przywódcy sanacyjni niepewni swego, niepewni społeczeństwa, bo przecież zdawali sobie sprawę, że było przez nich propagandowo urabiane, bojąc się, rzeczywiście nie bez racji, czy potężni sojusznicy staną w obronie słabej Polski, słowem ze strachu, obiecywali zwycięstwo. I chyba tylko marszałek Piłsudski, ale w swojej najlepszej formie, byłby w stanie powiedzieć społeczeństwu jak jest naprawdę.

24. „A lato było piękne tego roku”, napisał Gałczyński w wierszu ku czci żołnierzy z Westerplatte i oni, w znacznej mierze za sprawą poety, stali się symbolem bohaterskiego Września. Niewiele wcześniej, jeszcze z początkiem tego samego pięknego lata, agresywne endeckie „Prosto z Mostu” drukuje poemat miłosny Gałczyńskiego „Noctes Aninenses”. Poezja dopisywała wszystkim tego roku. W „Wiadomościach Literackich” Maria Pawlikowska-Jasnorzewska opiewała różę, która „wznosi ku niebu swoje płonące łuczywo”. Młoda poetka Zuzanna Ginczanka wczuwa się lepiej w nastrój owego lata: „są znaki, że będzie wojna, kometa orędzia mowy. Są znaki, że będzie miłość, serce, zawroty głowy”. Tylko nie było żadnych znaków, że przyjdzie zagłada i że Zuzanna Ginczanka zginie zamordowana przez Niemców. Być może dlatego, że było tak pięknie, wojna wydawała się szczególnie mało prawdopodobna, wciąż do uniknięcia. Po prostu nie było sensu nikogo zabijać, ani tym bardziej ginać. Tym, którzy jeszcze pamiętają (są tacy) ostatni sezon w Juracie, rozbłyskują oczy na samo wspomnienie. Podobno jeśli ktoś nie był tam wówczas młody, zdrowy i przy jakichś przyzwoitych pieniądzach, ten już nigdy się nie dowie, co to znaczy prawdziwe życie: nie trzeba było nawet zbyt grzeszyć urodą. Tak samo zresztą mówiono o Petersburgu czy Odessie przed rewolucją. Był oczywiście tego lata ów niepokój, który wyczuwała Ginczanka, podniecające napięcie, które ludzie poinformowani, nie dający się naiwnie nabrać na alarmowe nastroje, strachy na lachy zdolne popsuć letnią radość, uważali za pochodne różnych bluffów, demonstracji wojskowych, gier politycznych. I radzili swojemu towarzystwu, żeby się zbyt nimi nie przejmować, bo nie warto. A jednak bez wątpienia dodawało to smaku nadmorskim pocałunkom. Kazimiera Iłakowiczówna (nie wiem gdzie spędzała ostatnie przedwojenne lato) napisała nawet dosłownie, że „wszystkie pocałunki pachną prochem”. Oczywiście nie zaniedbała również swojej obywatelskiej muzy. W specjalnym gdańskim numerze „Wiadomości Literackich”, który był deklaracją polityczną środowiska, poparciem stanowiska rządu, a personalnie ministra Becka, wobec roszczeń niemieckich, wydrukowała Iłakowiczówna wiersz adresowany do Gdańska. Czytamy w nim:

Nie chcesz wolności? A tęsknisz doń,

lękasz się zyskać, czy stracić.

Podaj mi rękę, ja podam ci dłoń

Gdańsku, mój bracie.

Strasznie naiwnie brzmi ta strofa. Gdańsk ówczesny przecież się nie waha. Jest w tym momencie najbardziej niemieckim, a może nawet najbardziej hitlerowskim z niemieckich miast. Broni też, zwłaszcza polskiej, nie potrzebuje; uzbrojony jest po zęby po niemiecku. Zwijają się polskie urzędy, wyjeżdżają obywatele, tylko załoga Poczty Polskiej, którą zapomniano uprzedzić, że nie będzie żadnej odsieczy, sposobi się na wszelką ewentualność. I nie znajdują wobec niej zastosowania konwencje haska ani genewska. Załoga nosi mundury, ale pocztowe, nie wojskowe: to cywile i dlatego ci, którzy nie zginęli podczas szturm, zostaną z kilkoma wyjątkami, według prawa wojennego w interpretacji hitlerowskiej, rozstrzelani. A Westerplaczczy pójda do niewoli. Moment honorowej kapitulacji pieczęłowicie sfilmują niemieckie kroniki filmowe. Jak co roku, w sierpniu 1939, halsowały żaglówki po trockim jeziorze, kajaki spływały Czarną Hańczą, wędrowni harcerze rozbijali namioty w Czarnohorze, kuracjusze dopisywali w Truskawcu czy Druskiennikach. A w Tatrach trwał rekordowy sezon wspinaczkowy. Przyszły wybitny nefrolog i transplantolog Tadeusz Orłowski i chemik z Uniwersytetu Jagiellońskiego Włodzimierz Gosławski (ten drugi, poszukiwany przez Gestapo, w pierwszą okupacyjną zimę zginie z wyczerpania przy próbie przejścia granicy) pokonują

środek północno- wschodniej ściany Galerii Gankowej. Na pierwsze powtórzenie tej rekordowej drogi przyjdzie czekać 16 lat. Od paru miesięcy owe 300 metrów częściowo przewieszzonej ściany należało do Rzeczypospolitej, podobnie jak szereg innych pięknych ścian tatrzańskich. Bo poprzedniej jesieni wojsko polskie zajęło kilkanaście wsi na Spiszu i Orawie, a w Tatrach wyprostowano granicę wzdłuż głównej grani. Dla sportowców było to obojętne, może nawet krępujące, a w ogóle bez znaczenia; nie zważając na nieprzyjazne stosunki między sąsiadami poruszano się swobodnie po Tatrach w ramach konwencji turystycznej. Wojskowa akcja polska była, gdyby nie straty w ludziach, groteskową demonstracją siły: podobno nawet wbrew naszej dyplomacji. Oczywiście na korzyść Hitlera; upokorzeni Słowacy, którzy właśnie z rąk niemieckich otrzymali swoją dwuznaczną niepodległość, zapamiętali ten polski sukces i z większym przekonaniem zbrojnie wkraczali do Polski 1 września u boku 14 Armii generała Lista. A podczas okupacji kurierzy, którzy kursowali przez Słowację, mieli ciężkie przejścia ze słowacką policją i strażą graniczną. Doświadczył tego Jan Karski, ciężko pobity na słowackim komisariacie. Dlatego między innymi ten niezwykle bohater, kombatant wyjątkowy, nie uważał się za zwycięzcę w tej wojnie, choć faszyści zostali pokonani. Bo dla niego, człowieka i patrioty, wojna była katastrofą, była klęską. Oczywiście przeczucia i prorocтва poetów nie są traktowane poważnie: nie podają oni dokładnych dat ani sposobów zachowania wobec przepowiadanej sytuacji, ale jeśli cytowany wiersz Iłakowiczówny był naiwny, to co powiedzieć o fachowcach, wojskowych i politykach, którzy, choć nafaszerowani poufnymi informacjami, pozostają ślepi i głusi wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa. Wystarczy ostatni przykład: 31 sierpnia 1939 roku wieczorem minister Beck zadzwonił do Naczelnego Wodza marszałka Rydza-Śmigłego i po skończonej rozmowie powiedział do swojego Dyrektora Gabinetu, którego świadectwo budzi zaufanie: „Tej nocy możemy spać spokojnie”. Poezja polska utrzymała się na poziomie swojej wielkiej tradycji. Cokolwiek by nie przytaczać na ich usprawiedliwienie, zawadzili, oczywiście, że nie wszyscy, dowódcy wojskowi i polityczni. Nie zawiedli poeci. Nowy heroiczny ton zabrzmiał w poezji Antoniego Słonimskiego „Alarmem dla miasta Warszawy”. „Bagnet na broń” legionisty-komunisty Władysława Broniewskiego, napisany proroczo w kwietniu 1939 roku, klepało się na akademiach w Polsce Ludowej nie rozumiejąc, że ta obca dłoń z wiersza, która też nie przekreśli rachunków krzywd, to dla Broniewskiego, więźnia sanacji, może być tylko dłoń radziecka i że za tę „dłoń podniesioną nad Polską” grozi kulą w łeb. Odnotowując ten wiersz wydrukowany w „Czarno na Białym”, „Wiadomości Literackie” poświęcają erudycyjny komentarz generałowi Cambronne, na którego powołuje się Broniewski w puencie. Otóż nie chodzi o to, czy generał powiedział „Merde”, czy „Gwardia ginie, ale nie poddaje się”, tę frazę, zważywszy na sytuację, cokolwiek przydługą. Sprawa jest poważniejsza. Całą sprawę sfabrykował paryski dziennikarz Rougement i już nigdy nie udało się jej przekonywająco sprostować. W rzeczywistości Cambronne poddał się bez walki, rzucił szablę, kiedy zaatakował go baron Halkett z hanowerskiej Landwerhy. Cambronne dożył spokojnie swoich dni na przyzwoitej generalskiej emeryturze w Nantes. A słowa jemu przypisywane w jednej czy drugiej wersji, wypowiedział 41 dni przed Waterloo dowódca francuskiego statku nazwiskiem Collet. I takie erudycyjne detale uważa za interesujące dla swoich czytelników w ostatnim, jak się okazało, numerze „Wiadomości Literackich”, ich stały autor podpisujący się Quidam. W ogóle nie wydaje się, żeby redakcję ogarniały jakieś katastroficzne nastroje. W najbliższych numerach zapowiadane są: utwór Gombrowicza „W mieście Gombriada” i fragment wspomnień Iwaszkiewicza o Karolu Szymanowskim pod tytułem „Elizawetgrad”. Tym

większe wrażenie robią wiersze, które ukazały się w numerze z datą 3 września 1939 roku, to znaczy w chwili, kiedy wiadomo było, że Polska ponosi klęskę. Oto wiersz Jana Brzechwy, z „W.L.”, który może stać śmiało obok patriotycznych, okolicznościowych, ale świetnych utworów Gałczyńskiego, Broniewskiego i Słonimskiego:

Gdy padnie słowo ojczyzna
Wierny odpowie głos
I odmłodnieje siwizna
I odmłodnieje los.
Nad Wisłą burza zawisła
W burzy młodnieje śpiew
Woda w Wiśle nie wyschła
W żyłach nie wyschła krew.
O matko! Mundur mi podaj
Ten sprzed dwudziestu lat
Krew moja znowu jest młoda
Jak rozmarynu kwiat
O matko! Mundur mój szary
Bóg mi kulami szył
Kulami uczył mnie wiary
Kiedy zabrakło sił
(...) Co serce w pustce ci wyzna
Tego nie trzeba kryć
Gdy padnie słowo ojczyzna
Znów będzie warto żyć.

I najwyraźniej w ostatniej chwili, a więc już może pod bombami, takie to w każdym razie robi Wrażenie, poza normalnymi ramami, bo w czasie druku, do tego samego, ostatniego, 37 numeru „Wiadomości Literackich”, dołączono wiersz Kazimierza Wierzyńskiego pt. „Wstążka z Warszawianki”. I czytamy w nim:

Naprawdę idzie pożar. Na ściany się wedrze.
Gęstą luną. co wszystko z tych murów pościera,
Oprócz krwi zapisanej na naszej katedrze,
Że tym tylko się żyje, za co się umiera.

Ta strofa w jakiś szczególny sposób rymuje się ze słowami, które w jednym ze swoich wywiadów wypowiedział Leszek Kołakowski: „Jeżeli ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, warto umierać za to, żeby nie została zniszczona. To jest normalne i naturalne i wielu ludzi przyświadczyło swoim życiem i śmiercią, że tak jest. W naturalny sposób jesteśmy gotowi za ojczyznę płacić własnymi poświęceniami, czy uczynkami”.

25. 3 stycznia 1939 roku Hitler przyjmuje Becka w swojej górskiej rezydencji w Berchtesgaden. Kilka miesięcy wcześniej gościem Hitlera był ambasador francuski w Berlinie François Poncet, na którym to miejsce robi przejmujące wrażenie: winda wykuta w skale, atmosfera starogermańskich baśni. Dyrektor Gabinetu Becka jest bardziej wstrzeźliwy, ale przecież wspomina „cudowną komnatę o proporcjach renesansowych i dwupoziomowej podłodze”. Za przeszkloną ścianą rozpościera się wspaniały górski pejzaż, widać w oddali Salzburg, najpiękniejsze miasto Alp. „Hitler wyszedł na spotkanie ministra aż na próg swego domu”, notuje Dyrektor Gabinetu z satysfakcją, jakby punkt dla naszego ministra. Po czym w gabinecie Hitlera odbywa się historyczna rozmowa, która w ocenie Dyrektora spowodowała załamanie się dotychczasowej polskiej polityki. I rozpoczęła ciąg wydarzeń, jakie w ciągu kilku miesięcy przesądziły o wojnie Trzeciej Rzeszy z Polską, a potem o losach świata. Prawie kameralna, nieoficjalna rozmowa, żaden wiec, sesja parlamentu, posiedzenie plenarne międzynarodowej organizacji, obrady jakiejś komisji mieszanej z udziałem ekspertów i obserwatorów. Po stronie polskiej minister Józef Beck, Dyrektor Gabinetu Michał Łubieński, ambasador w Berlinie Józef Lipski. Po niemieckiej: ambasador w Warszawie Moltke, specjalny protokolant i tłumacz Hitlera Schmidt, minister von Ribbentrop - odpowiednik Becka, no i Hitler. A więc w ścisłym gronie. W jakim języku odbyło się spotkanie? Wszyscy jego uczestnicy znali niemiecki, ale również i francuski, który był językiem dyplomacji. Byłoby to grzeczniejsze wobec gości. Hitler walczył przecież na francuskim froncie, w razie czego, miał pod ręką Schmidta. „Hitler, o ile dzisiaj pamiętam - zastrzega się Dyrektor Gabinetu - rozwijał przed nami projekt ekspansji Polski w kierunku Ukrainy, którą gotów był uznać za sferę wyłącznych interesów polskich. Obejmowało to również sprawę Rusi Przykarpackiej, a więc problem wspólnej granicy z Węgrami. W zamian za to padło jednak z ust jego, straszne pod względem prestiżowym słowo: „Gdańsk”. Była też mowa o autostradzie eksterytorialnej, ale bez nacisku. Minister odpowiedział wtedy, że nie widzi kompensat dla Polski za Gdańsk. Na co Hitler, w jakimś bardzo okrągłym zdaniu, pochwalił ministra za jego zręczność polityczną i wyraził nadzieję, że minister przecież jakieś wyjście z tej sytuacji znajdzie. Reszta rozmowy była mniej interesująca poza tym, że Hitler wyrażał się raczej przyjaźnie o Francji, skarżył się tylko na francuskie mobilizacje, które zmuszają go do stawiania dwunastu dywizji osłonowych na granicy francuskiej”. Rozmowa nie była protokołowana, Schmidt i Łubieński sporządzili z niej notatki, a kiedy po koleżeńsku porównali objętość (nie treść oczywiście) okazało się, że nasza była o połowę krótsza. W dodatku nie podobała się Beckowi, więc nie wyszła poza szafę ogniotrwałą ministerstwa i wraz z nią przepadła w czasie wojny. A oto relacja Dyrektora Gabinetu z części nieoficjalnej spotkania: „Po pięciokwadransowej rozmowie, w której, jak zwykle, mówił przeważnie Kanclerz Rzeszy, gdy rozmowa najwyraźniej utknęła na martwym punkcie, Hitler istotnie poprosił nas na herbatę, w innym końcu sali przygotowaną. Podczas tej herbaty rozmowa toczyła się już tylko na tematy sztuki, przy czym Hitler wymyślał szalenie na Hohenzollernów, którzy tak oszpecili Berlin i twierdził, że całe to miasto przebuduje, zostawiając może tylko jakąś jedną ulicę na wieczną tej brzydoty pamiątkę. «Muszę się z tym spieszyć - dodał - bo po mnie jeszcze tak Göring będzie budował, ale kto po nim nastąpi, trudno przewidzieć». Wyśmiewał się również ze sztuki futurystycznej i opowiadał, że sprzedaje za granicę różne żydowskie futurystyczne dzieła sztuki, za które każde snobom drogo płacić, a za to kupuje dobre, stare płótna”. Czy podobnie, jak to według Dyrektora Gabinetu czynił Beck, w rozmowie z Hitlerem na tematy czeskie któryś z Polaków uśmiechał się i potakiwał? Wątpię, trudno było dyskutować z monologującym gospodarzem. A

zresztą na sztuce nikt z polskiej delegacji się nie znał. Myślę poza tym, że stryj Micio zachował się tu właściwie. Pisał przecież wyraźnie, czytałem: „Nie wiem jakie duchy stały za antysemityzmem naszego ruchu narodowego. Jestem Polakiem - czczę historię Polski i wiem, że nie były to duchy naszej wielkiej przeszłości”. Minister też pewnie był w porządku, cierpiał na fobię tylko w stosunku do Czechów, no i do pewnego stopnia Francuzów. Ale za ambasadora Lipskiego nie mogę już ręczyć. W relacji Dyrektora Gabinetu wyczuwa się napięcie, towarzyszące temu spotkaniu. Beck zapewne zdawał sobie sprawę, że jest próbowany i obudziła się w Becku bojowa strona jego natury; jeśli nawet maskująca niepewność to bardzo głęboko. On, wierny uczeń marszałka Piłsudskiego, nie boi się nikogo: przecież Marszałek zupełnie nie bał się Hitlera, a może Beck też sam chciał się sprawdzić, zaimponować sobie. Jest taki typ przywódcy, polityka, artysty, który musi od czasu do czasu paść przed samym sobą, bo przecież nie przed kimkolwiek innym, na kolana. Według Dyrektora Gabinetu, replika Becka z non possumus w sprawie Gdańska wypadła raczej blado, czego minister był świadom, tłumacząc się potem, że przy tylu świadkach nie mógł być wobec Hitlera bardziej kategoryczny. /Me widocznie uznał, że tak należało, bo rozpowszechniał własną wersję, którą Dyrektor Gabinetu poznał przypadkowo. I uznał za charakterystyczną dla ministra: „Hitler powiedział mi, «oddajcie mi Gdańsk, bo to jest kwestia mego honoru». Na to ja mu odpowiedziałem: Gdańsk jest kwestią honoru mojego narodu. Hitler zaprosił nas wtedy na herbatę, a ja powiedziałem do obecnego przy tym mego sekretarza: «To jest wojna»”. Według Dyrektora Gabinetu zgadza się tylko herbata, natomiast jako jedyny Polak, którego można by uznać za sekretarza, zaprzecza, jakoby Beck mówił o wojnie. I nie pamięta, żeby jego minister tak honorowo postawił się Hitlerowi. Ale widocznie tak właśnie, patetycznie i profetycznie, chciał Beck zapamiętać tę swoją ostatnią rozmowę z Hitlerem. Potem będzie rozmawiał już tylko z Ribbentropem, z Moltkem, nastąpi wymiana nieprzyjaznych przemówień, zaczną się ataki i kontrataki prasowe; słowem od Berchtesgaden istotnie będzie się miało ku wojnie. I chociaż według swojego Dyrektora Gabinetu, który nazywa siebie służącym, dla którego zwierzchnik nie ma sekretów, minister szef nie wypadł w tym spotkaniu imponująco, była to pierwsza próba do roli, którą miał odegrać. I ona należy do owych pięciu minut, którymi przeszedł do historii. Tak właśnie jak to rozpowszechniał, chciał Beck zapamiętać finał spotkania. Czy zdecydowało ono o zmianie jego polityki? Być może. Na pewno się do tego przyczyniło. Mam jeszcze inną, czysto literacką wersję tłumaczącą tę zmianę. Oto późną nocą, data nieustalona, za wstawiennictwem Wieniawy-Długoszowskiego, ułana i poety (wyjątkowe połączenie, pisał przecież Miłosz, że „nienawidził poeta ułana bardziej niż bohema filistra”), przyjmuje Beck szczególną delegację pisarzy i poetów. Byłby wśród nich Słonimski, Tuwim, może legionista Broniewski i dla równowagi hrabia Tonio Sobański, który, snobując się na obiektywizm, pisał prawdę o hitlerowskich Niemczech w „Wiadomościach Literackich”. Tłumaczą mu, kim jest Hitler, jak bardzo konszachty z nim są kompromitujące, że wszystko co mówi nie ma znaczenia, i że nie ma też znaczenia, iż chwilowo jest miły wobec polskiej mniejszości w Niemczech, bo nie należy wierzyć żadnemu jego słowu. Co się w Niemczech dzieje z Żydami i co naprawdę myśli się tam o przyszłości Polski. Być może ktoś podsunął Beckowi w odpowiednim momencie odnośny fragment „Mein Kampf” Hitlera: „Mądry zwycięzca stawia swoje żądania zwyciężonemu o ile możliwości etapami. Może wówczas liczyć się z tym, że naród pozbawiony charakteru - a taki jest każdy naród, który się dobrowolnie poddaje - w poszczególnych etapach nacisku nie znajdzie dostatecznego powodu, by raz jeszcze chwycić za broń. Im częściej ludzie ulegają w ten sposób, bezwolnie,

szantażowi, tym mniej uzasadnione wyda im się stawienie oporu z powodu nowego, na pozór odosobnionego, a przecież stale ponawianego nacisku - zwłaszcza gdy się już tyle gorszych nieszczęść zniosło, cierpliwie i w milczeniu". I Beck nie życzył już sobie być ilustracją, potwierdzeniem, ofiarą tej taktyki.

26. Niespodziewanie obszerne fragmenty „Ostatniego raportu” Becka przetłumaczone z francuskiego wydania docierają do Polski w dziesięć lat po śmierci ich autora, a więc znacznie wcześniej, niż została napisana książka Cata. Stało się tak za sprawą znanych dziennikarzy politycznych Stefana Arskiego i Grzegorza Jaszcuńskiego, którzy postanowili zmierzyć się propagandowo z legendą niepodległej Polski i właśnie „Ostatni raport” uznali za obiecujący materiał. Zła wola wydaje się tu oczywista i należy wykluczyć, że nawet ex post, ich perwersyjnym zamiarem było przypomnieć w ten sposób Becka, dać mu przemówić. Bo autorzy są czujni. „Nawet po klęsce wrześniowej Beck pozostaje wierny swoim hitlerowskim sympatiom - puszą - Beck solidaryzował się z całkowitą hitleryzacją Gdańska”, oraz: „Beck znowu kłamie”. Trzeba mieć jednak szczególny rodzaj cynicznej odwagi, żeby tak napisać, wiedząc doskonale kto, nieważne czy rzeczywiście szczerze sympatyzował, ale na pewno współpracował w 1939 r. z Hitlerem. To imię wymawiano jednak wówczas z zabobonną czcią i rzeczywiście było się czego bać, nawet po śmierci Stalina. Czy Stefanowi Arskiemu, piszącemu „My, Pierwsza Brygada”, paszkwil na piłsudczyków, przyszło do głowy, że porusza jednak temat, który miał być wymazany z polskiej świadomości? Czy portretując Piłsudskiego jako drobnego agenta austriackiego wywiadu liczył się również z tym, że wywoła odwrotną reakcję, bo przecież żyło pokolenie wychowane w kulcie Marszałka. A pamięć o nim pozostawała na specjalnych prawach. Nie podlegała takiej krytyce, jak po jego śmierci rządy sanacyjne. Pisze Arski: „Teraz u władzy w Niemczech znalazła się taka sama jak oni zgraja awanturników i wykołajeńców, brutalnych, okrutnych, zdecydowanych na wszystko, opętanych żądzą podboju i łupu, wierzących tylko w bagnet, pałkę, pięść, kryminał”. A jak określić tych, którzy sprawowali władzę w Polsce Arskiego i Jaszcuńskiego i w co wierzyli ci ludzie? Inny cytat: „Flirt sanacyjno-hitlerowski zapoczątkowany paktem z 1934 roku przeobraża się wkrótce w gorącą miłość”. Jak wobec tego, pozostając przy figlarniej metaforze, określić pakt Ribbentrop-Mołotow, który miał wkrótce nastąpić i ów flirt unieważnił? Jakieś nieoczekiwane, fatalne zauroczenie? Czy raczej wykalkulowana gra? Nie trwało to długo, a jednak prawie dwa lata i przyniosło znaczące rezultaty: zagładę Polski, klęskę Francji, okupację Norwegii, Jugosławii, Grecji, zagrożenie Anglii z wody i powietrza. Ale kiedy wydawano w Polsce, z odpowiednimi komentarzami, „Pamiętniki Becka”, o pakcie moskiewskim nie mówiło się, a jeśli, to oględnie i ze zrozumieniem. Ale przecież jakim by nie były oszczerstwem obelgi rzucone przez Arskiego, Jaszcuńskiego i innych, nie sposób zaprzeczyć ciężkim grzechom sanacji ani ich usprawiedliwić. Być może nie przejmowano się tak bardzo wiadomościami z Niemiec, skoro zdarzył się w Polsce proces brzeski, funkcjonowała Berezka Kartuska, założona niewiele później niż Dachau. Dachau, pomyślane początkowo podobnie, jako miejsce odosobnienia dla krnąbrnych przeciwników politycznych, który stopniowo przekształcił się w obóz śmierci. Kiedy czytamy, co o Becku i jego polityce pisali Arski i Jaszcuński, musimy stwierdzić, że znacznie bardziej zaszkodził Beckowi jego panegirysta, znany przedwojenny dziennikarz Konrad Wrzos. Jego książka pod tytułem „Pułkownik Józef Beck”, że niby taki tytuł rozumie się sam przez się, bo bohatera książki nie trzeba przedstawiać, rozpoczyna anegdota, niezamierzenie komiczna. Oto pewien japoński polityk (nazwisko nie pada) zgłasza się do ministra w te słowa: „Przyjechałem pana zobaczyć, ponieważ jest pan najbardziej interesującym mężem stanu w Europie”. Beck skromnie się wymawia obowiązkami w Genewie, ale Japończyk nie ustępuje. „Skoro podróżował już miesiąc (zapewne statkiem) - pisze Wrzos - żeby porozmawiać z Beckiem, cóż znaczy jeszcze ta 36-godzinna męcząca podróż pociągiem do Genewy: więc oczywiście za Beckiem pojedzie”. Według

wiecznych, sprawdzonych reguł dworskiej twórczości, Wrzos ociepla wizerunek ministra, pokazując go prywatnie: oto jego gabinet, na kanapie śpi pies, na stole leży książka, otwarte pudełko z papierosami; przygasa ogień na kominku, a za ścianą huczą dalekopisy i czuwają sekretarze. A sam minister: „W głębinach swej duszy rozważa drogi prowadzące Polskę ku jej wielkiemu przeznaczeniu - sam waha się, zмага i tworzy decyzje.” Dużo miejsca poświęca Wrzos „zwycięstwu zaolziańskiemu”, przytacza też fragment laudacji na Uniwersytecie Warszawskim, bo owo zwycięstwo przyniosło ministrowi aż dwa doktoraty honoris causa: w Warszawie oraz Lwowie, na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. A w Warszawie słuchał minister słów laudacji: „Jesteś tym mężem stanu, który imię Polski mocarstwowej postawił na wysokim piedestale międzynarodowym, jesteś aktywistą i realistą w swoich twórczych działaniach dyplomatycznych, a nade wszystko jesteś z tych szczerych patriotów polskich, dla których wielkość narodu i państwa są jedynym celem bez reszty”. I jeszcze końcowe słowa książki, które zapewne czytane były z szyderczym uśmiechem: „Polska jest silna, a jej polityka niezależna (...) opiera się zaś na gorącym patriotyzmie, zmyśle rzeczywistości, trafności przewidywań i wypróbowanej wytrzymałości jej sternika.” Oczywiście Beck nie mógł zamawiać u Wrzosa podobnej książki, nie pozwoliłaby mu na to próżność wyższego rzędu, którą posiadał, a którą drażni rozgłos, która gardzi luksusem i chce służyć sprawie, tyle, że ma do tej służby wyłączność. Podobnie nie odpowiadał Rydz-Śmigły za piosenkę „nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły- Rydz”, którą puszczano przez radio jeszcze po rozpoczęciu wojny. Ale też nie zaprotestował przeciw kultowi swojej osoby, który wymyślono, aby Polska miała wodza. Więc obiecywał, słynne słowa, że nie oddamy ani guzika, występował na plakatach, które głosiły hasło „silni, zwarci, gotowi.” Tylko, że mówił to jako polityk, żeby wyrzeć wrażenie może już nie tyle na Hitlerze, który w przeciwieństwie do Rydza nie blefował ze swoim przygotowaniem czy siłą, ale na sojusznikach. No i na społeczeństwie. Pochodną metafory z guzikami było kordonowe rozstawienie wojsk wzdłuż granicy. Decyzja znów polityczna podyktowana obawą, że Niemcy zajmą bez walki jakiś obszar kraju, a potem, korzystając z mediacji powiedzmy Mussoliniego, zgodzą się na pokój. I znowu, jak to się stało w przypadku Czechosłowacji, Zachód odetchnie z ulgą, że uniknięto wojny. Czy możemy wykluczyć taką ewentualność? Może jednak niepotrzebnie Śmigły straszył, a właściwie przeciwnie, niechcący zachęcał Niemców, zapewniając, że nawet bez amunicji będziemy się bić. W ten sposób wpisując się w nie najmądrzejszą, choć twierdzi się czasem, podyktowaną wyższą koniecznością narodową tradycję, której wyrazem były słowa piosenki „poszli nasi w bój bez broni”. Wśród wielu innych wypowiedzi tego typu, myśl jednego z dowódców Powstania generała Pełczyńskiego, który miał powiedzieć, że każde zadanie jest wykonalne, jeśli chce się je wykonać.

27. Cat kończy swoją książkę o polityce Becka cytatem z Bismarcka: „O 11-stej - powiada aktor - sztuka jest skończona”. I rzeczywiście zaczyna się zupełnie inna sztuka, sztuka wojenna, już bez udziału Becka, który nie będzie w niej nawet statystą. Beck schodzi definitywnie ze sceny. Ale była to scena światowa, na której zagrał swój wyrazisty epizod. Pozostało mu jeszcze pięć lat życia, mniej więcej tyle, ile czasu kierował polską polityką zagraniczną po śmierci Marszałka. Tamtych pięć lat wytężonej, hazardowej gry dyplomatycznej, którą prowadził wraz z zespołem w niebezpiecznym kierunku. Gry, w której sam niespodziewanie, odważnie postawił na zupełnie inną niż dotąd kartę, cały swój, tak drogi mu, jako urzędnikowi Rzeczypospolitej, prestiż. Przegrał i czekało go tych ostatnich pięć lat internowania w Rumunii: przymusowej beczynności, jeśli nie liczyć tego, co napisał o swojej polityce. A jednak, twierdzi przenikliwie Dyrektor Gabinetu, była to najlepsza rzecz, jaka mogła go spotkać. Gdyby, jak bardzo tego chciał w pierwszych miesiącach praktycznie aresztu domowego, udało mu się wydostać na Zachód, stanowiłby poważny problem dla nowego polskiego rządu. I dla siebie samego. Jak miałby się zachować i co zrobić z politykiem, którego powszechnie uznano za jednego z głównych winowajców katastrofy państwa. Bo przecież należał do pierwszej trójki sprawującej władzę. Tymczasem stary prezydent Mościcki abdykował i wycofał się ze wszystkiego do Szwajcarii, nie budząc już niczyjego zainteresowania. Rydz-Śmigły przedostał się na Węgry, po czym do Warszawy, do konspiracji i tam udało mu się umrzeć na ulicy Sandomierskiej (jest stosowna tablica), co miało znaczenie głównie dla honoru (to też nie mało) niefortunnego wodza pobitej armii. Pozostawał Beck. /Me wspólnym wysiłkiem rządu emigracyjnego i jego ekspozytury w Rumunii, która dość gładko zmieniła orientację na antysanacyjną, Ambasady Francji w Bukareszcie, kraju z którym łączyła Becka zadawniona antypatia i, co decydujące, władz rumuńskich pragnących udowodnić Niemcom swoją neutralność poprzez internowanie przynajmniej niektórych polskich przywódców, Beck pozostał w Rumunii. Na szczęście dla siebie. A potem chyba stracił motywację do ucieczki. W Londynie czekałyby go rozliczenia i porachunki. A może również próby wciągnięcia w machinacje przeciw Sikorskiemu na które, jako państwowiec, chyba by nie poszedł. Wreszcie zorganizowano mu tę ucieczkę i nawet pomyślnie się rozpoczęła, ale kiedy, najprawdopodobniej przypadkowo, rumuński policjant zatrzymał samochód zmierzający w stronę granicy, Beck nie czekając na sprawdzanie i przesłuchanie ujawnił, kim jest. Czy miał dosyć polityki, wołał już o niej pisać, niż praktykować? A ponieważ był, od lat zresztą, poważnie chory, być może znęciła go perspektywa prywatnej, spokojnej, a jednocześnie nie pozbawionej patosu śmierci. Co mu się zresztą udało. Kondukt pogrzebowy miał nawet do pewnego momentu asystę wojskową. Uczestniczyło w pogrzebie kilkadziesiąt, życzliwych zmarłemu do końca, osób. Co zważywszy na panujące okoliczności wojenne i polityczne oznaczało godne pożegnanie. Zgodnie zresztą z zastrzeżeniami, jakie jeszcze na początku pobytu w Rumunii Beck przekazał Janowi Weinsteinowi, jednemu ze swoich wiernych, młodych podwładnych, tak zwanych byczych chłopców. Weinstein odwiedził Becka w Braszowie i usłyszał: „Drogi panie, żołnierze giną na placu boju, a politycy z zasadzki. Gdybym zginął, proszę zgłosić się do regenta Węgier, aby dał dawnemu Honwedowi dwa metry ziemi na grób. Niech za trumną nie idzie żaden przedstawiciel Ambasady Polski w Bukareszcie, żaden Anglik, żaden Francuz i... pochowajcie mnie z twarzą do Polski”. A więc obraził się Beck na cały świat, skoro nie udało mu się zginąć we Wrześniu. Dyrektor Gabinetu świadczy, że minister miał dwukrotnie pomysły, które mogły przynieść takie rozwiązanie: chciał podczas ewakuacji z Warszawy ostrzeliwać się z praskiego brzegu, a potem chciał jeszcze

strzelać, zanim przekroczył most w Zaleszczykach, ale w końcu z tego zrezygnował. Pozostał wierny swojemu legionowemu nastawieniu wobec świata, który jest zły, zdradziecki, tchórzliwy, więc nie można się po nim spodziewać niczego dobrego, zwłaszcza uznania. Zresztą choć miał słabość do defilad i orderów, światowe życie traktował jako obowiązek zawodowy i tego życia, rozgłosu, zainteresowania, chyba mu nie brakowało. Przez tych parę rumuńskich lat chorował, pisał, konstruował modele okrętów, co było jego prywatnym zamiłowaniem. W sumie, jeśli rzeczywiście, jak zanotował Dyrektor Gabinetu, nienawiść, która towarzyszyła Beckowi, była miarą jego wielkości, wszystko skończyło się nie najgorzej. Ciekawe, że zupełnie nie interesował się Beckiem również Hitler, który mógł robić w Rumunii, co chciał. W końcu wiadomo było dokładnie, gdzie Beck przebywa. To Beck przecież odrzucił i propozycje, i żądania Hitlera, można by powiedzieć, sprowokował wojnę III Rzeszy z całym światem, który, choć z ociąganiem, opowiedział się jednak po polskiej stronie. A po jakimś czasie zaczęła ta wojna przybierać zły dla Niemiec obrót. Myślę, że Stalin nie zapomniałby przemówienia sejmowego Becka, z jego typowo polską deklaracją o honorze, która co prawda Stalina nie dotyczyła, ale mogłaby go ubawić, zważywszy, co się wkrótce stało z Beckiem i jego krajem. Ale Stalin też miał swój honor i nigdy nie zapominał urazy. I tej krótkiej, ale wielkiej chwili Becka, kiedy kapitalistyczne mocarstwa Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, a tłum wiwatował na cześć ministra i naszych sojuszników. Drugi pogrzeb Becka, to znaczy przeniesienie jego prochów na Cmentarz Powązkowski, też był skromny i nie stanowił żadnego wielkiego wydarzenia. W roku 1991, nierocznicowym, okrągłym, wszyscy zajmowali się bieżącymi sprawami i historia odsunęła się na dalszy plan (miała jeszcze wkrótce powrócić). Pozostający przy życiu weterani przedwojennego MSZ-u, ongiś młodzi obiecujący dyplomaci, pisali do siebie i martwili się, że nie uda się, aby trumnę z prochami ministra złożono na armatniej lawecie, i żeby ją ciągnęły, jak przystało, kare konie. Ale pogrzeb odbył się już ze współczesnym, wojskowym ceremoniałem, a stosowne przemówienia wygłosili: urzędujący minister Krzysztof Skubiszewski i Ludwik Lubieński jako przedstawiciel weteranów mieszkających za granicą.

28. Wspomnienia mojego ojca pt. „Kartki z wojny”, wydane w 1976 roku, odtwarzają dość powszechne, nie tylko w Juracie czy w Tatrach, nastroje ostatnich miesięcy istnienia III Rzeczypospolitej. Wiarygodnie, bo nie odwołując się do swojej późniejszej mądrości, przyznaje się autor, że aż do połowy lipca owego roku nie spodziewał się wojny. Ten swój ówczesny optymizm, jak się miało wkrótce okazać naiwny, zapamiętał sentymentalnie, bo nigdy już się w jego życiu nie powtórzył. W bliskim otoczeniu jedynie starszy brat Henryk, wybitny dziennikarz, współpracownik wileńskiego „Słowa”, nie tylko dobrze, ale co ważniejsze krytycznie poinformowany, od pewnego czasu oswajał młodszego brata z myślą, że wojna jest bliska i nieunikniona. Ale brat młodszy skłonny był wierzyć w odstraszącą moc sojuszu z Francją i angielskiej gwarancji. Można było z tym pokrzepiającym przekonaniem skojarzyć słowa Piłsudskiego, że „Hitler nie jest ani taki głupi, ani taki odważny, jak ludzie sądzą.” Uważano, że jak wszystko albo prawie wszystko co mówi Piłsudski, jest to prawda wiecznotrwała, której nie są w stanie podważyć żadne nowe okoliczności. Mógł autor zakonotować sobie tę myśl od bogatych kuzynów z MSZ-u, bo chętnie powoływał się na nią minister Beck. Niezależnie od głupoty czy odwagi Hitlera, które Piłsudski stawiał pod znakiem zapytania, pisano o nastrojach w Niemczech uspokajająco i nieco protekcyjnie. „Naród niemiecki - zdaniem popularnego oficjalnego publicysty Kazimierza Smogorzewskiego - latem 1939 roku wojny nie chce dlatego, że w zwycięstwo nie wierzy”. Nic dziwnego, skoro „słyszysz się pochlebne odezwania o armii francuskiej i polskiej, a również dodatnie oceny o wysiłku czynionym przez Wielką Brytanię”. W warszawskich kinach wyświetlano film, demonstrujący zbrojną francuską gotowość. Oto z idyllicznie wyglądającej równińskiej łączki, jakby za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki dyrygenta wojennej orkiestry, czy przez wypowiedzenie zaklęcia będącego najściślej strzeżoną tajemnicą wojskową, nie, nie tak, właśnie zupełnie niespodziewanie i bezszelestnie, podnoszą się pancerne kopuły nakryte gęstą, maskującą trawą, najeżone lufami, które skierowane są w niemiecką stronę. Rzeczywiście Hitler, po obejrzeniu takiego filmu (a z pewnością, domniemywano, musiał go widzieć), nie byłby ani tak głupi, ani tak odważny, żeby porywać się na Francję. I nie tylko Francję; była z Polską również królująca na morzach i oceanach flota angielska. Mało tego, jak pisze autor, „oficjalne stanowiska MSZ-u Jugosławii - Markovica, Rumunii - Gafencu, także Węgier - Csakiego, przeciwstawiają się polityce Hitlera. Nawet z Rzymu dochodzą głosy, że sojusz niemiecko-włoski stanowi nową formę kontrolowania Niemiec”. Z pewnością nie fetował najbliższy mi autor „manewru zaolziańskiego” i chyba nie interesował się nim zbyt wiele. Źródłem optymizmu była dlań obiecująca sytuacja w życiu prywatnym i zawodowym. „Powodziło mi się świetnie - wylicza - moje stanowisko w Ministerstwie umacniało się. Mimo że byłem bardzo młody, mianowano mnie Sekretarzem Komisji Rewizyjnej Państwowego Banku Rolnego, Zastępcą Delegata Ministerstwa Skarbu do Komisji Popierania Obrotu Artykułami Rolniczymi i wreszcie Komisarzem Dewizowym Związku Eksporterów Bekonu i Artykułów Zwierzęcych”. Aż w głowie się kręci! /Me spokojnie: „To wszystko obok zaszczytu przynosiło poważne dochody”. I jeszcze: „W życiu rodzinnym czułem się bardzo szczęśliwy”. Myślę teraz, będąc wówczas ważnym elementem tego szczęścia, że naturalną kolejną rzeczą (stabilizacja) w tym czasie mogła doznać osłabienia nie tylko aktywność polityczna autora, którą przejawiał podczas studiów w Krakowie, również jego wrażliwość na krzywdę społeczną, której napatrzył się na rodzinnej galicyjskiej wsi w Zagłębiu Dąbrowskim (był współautorem reportażu z Zagłębia). Co do polityki międzynarodowej, pozwalał się usypiać: był wdzięcznym obiektem rządowej propagandy. Słowem starszemu bratu niełatwo przyszło

uświadomić młodszego, jak mają się rzeczy w rzeczywistości. /Me w tym samym czasie inny krewny, pracujący w II Oddziale Sztabu Generalnego, podzielił się wiadomością, że w nieprzyjaznej Słowacji stacjonują wojska niemieckie. Wreszcie w samym Ministerstwie Skarbu, tej wydawałoby się oazie konkretnej i pożytecznej pracy, też pojawiły się powody do niepokoju: okazało się, że istnieją trudności w realizacji pożyczki angielskiej. /Me decydujące były słowa angielskiego generała Ironside'a, który przyjechał przyjrzeć się wojskom sojusznika i niezależnie od uśmiechów oraz krzepiących uścisków dłoni, zapytał niegrzecznie: „Gdzie jest wiek XX? To co oglądałem należy do wieku XIX”. Starszy brat zasłyszał to osobiście, albo od kogoś godnego zaufania, powtórzył młodszemu bratu i ten stracił pewność, że pokój uda się obronić. Ale niekoniecznie obronić nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. W gorszym wypadku, nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Inaczej mówiąc: pogodzeniu się z myślą, że wojna jest nieunikniona, nie towarzyszyła jakaś trwoga co do jej przebiegu i ostatecznego wyniku. Niezależnie od wiary w błyskawiczną lojalność zachodnich sojuszników, młodszy brat wierzył w polskie wojsko. Wierzył w siebie jako absolwenta kawaleryjskiej podchorążówki w Grudziądzu. Czegóż się bać, jeśli pod kierunkiem kontraktowych gruzińskich oficerów z rosyjskiej kawalerii, emigrantów wojskowo-politycznych, zjeżdżało się, na łeb na szyję, z wiślanej skarpy. Uczestnicząc w manewrach częściowo zmotoryzowanego, a więc elitarnego, 10. Pułku Strzelców Konnych na Wołyniu, gdzie przy pojeniu koni towarzystwa dotrzymywały czarnobrewy, hoże wieśniaczki, a w żydowskiej karczmarce miło było oglądać się za podobnymi do siebie, płochliwymi córkami karczmarza. Autor wyrusza na wojnę jako poważny obywatel w podniosłym nastroju. Wyobrażał sobie tę wojnę, czemu trochę się dziwi po latach, w klimatach sienkiewiczowskim czy napoleońskim. To znaczy w klimacie, dobrze sobie znajomym z książek i przekazów rodzinnych. Ostatnia wojna 1920 roku, w której właśnie na Wołyniu zginął jego najstarszy brat, też pasowała do tej tradycji. Jechał do pułku odprowadzany przez rodzinę, z kartą mobilizacyjną, niestety do innego pułku niż ten, w którym odbywał ćwiczenia i to na razie było jedynie rozczarowanie. Ale na stacji Skarżysko Kamienna usłyszał któryś nokturn Chopina, grany jakby na zamówienie przy otwartym oknie i to sprawiło, że jako oficer rezerwy czuł się całkowicie romantycznie, i profesjonalnie gotowy do wypełniania swoich obowiązków. Kochał Sienkiewicza i napoleońską Francję. Żaden był z niego militarysta, gusta miał pozytywistyczne. Ale kochał wojsko, w czym historia i literatura miały spory udział. Chyba podobnie jak Marian Brandys, z którym zresztą dyskutował na tematy napoleońskie. W kampanii wrześniowej, można powiedzieć, poszcęściło im się. Brandys z humorem opisuje swoje przygody w jednostce, ale nawet antysemityzm, z którym się styka i który dosyć skutecznie zwalcza, nie potrafi zachwiać jego wojskowego patriotyzmu. Nawet dla wrogiemu sobie kaprala, o nie wróżących nic dobrego żółtych oczach, znajduje słowa wdzięczności: ów kapral podejrzewał Brandysa o sympatię do wkraczającej Armii Czerwonej. /Me dzięki takiej „zoologicznej”, jak się kiedyś mówiło, nienawiści do żydokomuny, oddział pomaszerował przeciwko Niemcom zamiast na wschód i Marian Brandys nie zginął w Katyniu, przeciwnie, wziął udział w ostatniej, zaszczytnej bitwie kampanii pod Wolą Gulowską. Doświadczył smaku zwycięstwa choćby przejściowego, a potem, po kapitulacji na cywilizowanych warunkach, poszedł do przyzwoitego oflagu, gdzie przeżył wojnę. Autor „Kartek z wojny” rozpoczął kampanię w drugim rzucie, pod Zamościem. Los oszczędził mu odwrotu od zachodniej granicy na wschód. Ale jego sienkiewiczowsko-napoleońskie wyobrażenie o wojnie bardzo szybko wyparła rzeczywistość. Nie wiadomo skąd już pod Zamościem pojawiają się Niemcy. I jedyny

bodaj samodzielny sukces, to zlikwidowanie (kapral Banasiak, urodzony żołnierz) trzech wrogów na motocyklu, którzy jechali nie tam, gdzie trzeba. Ale co daje do myślenia, nikt nie potrafi uruchomić zdobyczej maszyny. Jeszcze udział w jakiejś pomyślnej potyczce, chwila wojennej radości, a potem już dotkliwie porażki jedna po drugiej, bezładna szarpanina, uciekinierzy, dezterterzy, dywersanci, prawdziwi albo domniemani, podejmowane ze zmiennym szczęściem próby opanowania rosnącej paniki, ogólna sytuacja pogarszająca się z dnia na dzień, świadomość przegranej i mobilizacja wszystkich sił, żeby się temu nie poddać. Potem niemiłe przypadki oficera rozgromionej armii w cywilnym przebraniu i wreszcie, już po wszystkim, próba ogarnięcia tego, co się stało, i co dalej. Dalej mój ojciec wstąpił do konspiracji, a w 1944 został komendantem A.K. obwodu Mielec. Jeszcze bardziej dramatycznie wygląda Wrzesień dla tych, którzy rozpoczęli wojnę odwrotem znad zachodniej granicy. Ogromne wrażenie pozostawia tutaj relacja podchorążego Jacka Woźniakowskiego, który później, pod koniec okupacji, był w A.K. adiutantem mojego ojca. Od młodzieńczego entuzjazmu, pomieszanego z patriotycznym niepokojem, upojenia pierwszym, niegroźnym jeszcze, wojennym doświadczeniem, przechodzi podchorąży do opisanego nagiej i niespodziewanej klęski, poczucia bezsilności, rosnącego z każdym dniem chaosu, odwrotu, który zamienia się w ucieczkę, Wreszcie walki o przeżycie, po odniesieniu ciężkiej rany, tej walki wygranej dzięki zbiegowi szczęśliwych przypadków i niewątpliwie jakiejś szczególnej protekcji Opatrzności. Jan Józef Szczepański w powieści „Polska jesień” daje zbliżone literackie świadectwo; jej protagonista jest oczywistym alter ego autora. I tutaj pokazany został przytłaczający ciężar przegranej. Ale znowu bez załamania, utraty wiary w słuszność sprawy, a więc odmianę losu. Powieści Putramenta i Żukrowskiego, autora wspaniałych wcześniejszych opowiadań z lat wojny i okupacji („Z kraju milczenia”), są już skażone politycznie. Mnóstwo pisarskiej energii poświęcone zostało wyszydzeniu kliki sanacyjnej, której przeciwstawia się klasowy patriotyzm. Żukrowski w „Dniach klęski” maluje też pocieszający obrazek: żołnierzy radzieckich, w czapkach uszatkach, którzy niezupełnie jasne w jakim charakterze, ale przyjaźnie zjawiają się na polskiej ziemi. Podobnie kończył się film według „Domku z kart” Zegadłowicza: oto lewicowy inteligent, któremu źle było w Polsce (co wcale niewykluczone), biegnie radośnie, z wyciągniętymi w powitalnym geście rękami, w kierunku czołgu ozdobionego czerwoną gwiazdą. A co się dalej stało? Możemy tylko snuć różne domysły.

29. Pragnąc oddać sprawiedliwość pokonanej w nierównej walce armii polskiej, polityk i historyk Leszek Moczulski napisał przed laty „Wojnę polską 1939 roku”; teraz ukazuje się jej poprawione wydanie. Tamta pierwsza wersja miała ogromne powodzenie, ale trudno było na jej podstawie zrozumieć, jak to się stało, że już 8 września Niemcy byli pod Warszawą. Wojna przedstawiona u Moczulskiego składa się z pasma, lokalnych co prawda, polskich zwycięstw, co nie wiadomo dlaczego źle się kończy. Tu Niemcy zaskoczeni, tam odparci, ówdzie wzdęci w dwa ognie, albo nie wytrzymują ataku na bagnety', to znów imponuje im postawa przeciwnika. Chyba, że uciekną się do swojej miażdżącej przewagi, co też jest jakby niehonorowe, bo wtedy żadna sztuka pokonać słabszego przeciwnika. 'Me również w fachowych opracowaniach, które ostro krytykują polskie przygotowania, doktrynę wojskową, plany wojny, dyslokację i sposób dowodzenia, a także decyzje podejmowane już podczas kampanii trudno jest uchwycić rozmiary i nastrój porażki. Przebieg zdarzeń wojennych z dokładnością do dnia, godziny, szwadronu czy batalionu i to na poszczególnych frontach, plus statystyki, mapy, podsumowania i wnioski, wszystko to sprawia, że nie czujemy owego „Finis Poloniae” z maciejowickiego pobojuwiska. Dlatego warto sięgnąć do świadectwa pamiętnikarskiego czy literackiego ludzi, którzy byli świadomymi uczestnikami kampanii, ale nie ponoszą za jej błędy odpowiedzialności. Chroni ich przed nią niski stopień oficerski, więc mogą sobie pozwolić na prywatny, czyli prawdziwy obraz wojny. Ów szok jakim dla armii, państwa, społeczeństwa był Wrzesień, od pewności siebie, karmionej „byczą” propagandą, do katastrofy - szok jest tak gwałtowny, że może łatwiej było otrząsnąć się z niego, niż gdyby przyszło stopniowo tracić siły, pertraktować z sytuacją bez wyjścia, odkładać nadzieję na przyszłość, ulegać pokusie kapitulacji; ale rozumując w ten sposób, wszystko można wytłumaczyć i trudno jest mieć jakiegokolwiek pretensje pod adresem Wodza, Sztabu, rządu, społeczeństwa. Nam po 70 latach może już nie bardzo wypada, ale tamtym współczesnym nie wolno było z takiego prawa do pretensji zrezygnować. Czterdzieści lat temu, w okrągłą rocznicę, miesięcznik „Więź” rozpiął ankietę na temat Września, tak jak to było wówczas możliwe, to znaczy wśród żyjących w kraju oficerów-weteranów kampanii. Najwyższy' stopniem pośród nich generał Roman Abraham, dzielny dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, czuł się niewątpliwie zobowiązany wobec pamięci przedwojennego wojska polskiego. Stąd w jego wypowiedzi brak właściwie uwag krytycznych pod adresem przygotowań, organizacji, koncepcji, doktryny dowodzenia w kampanii. Nie czuje się u generała, który spełnił swój obowiązek jak się dało najlepiej, wewnętrznego imperatywu, żeby analizować, wyjaśniać klęskę, obwiniając w czymkolwiek naszą stronę. Zresztą generał, człowiek wojskowego, a dokładniej nawet kawaleryjskiego czynu, nie zwykł był oglądać się za siebie ani przesadnie martwić się na zapas. W przededniu wojny mówił zupełnie serio, że wkrótce spodziewa się być ze swoimi ułanami pod Bramą Brandenburską. Takie były wówczas nastroje. Józef Mackiewicz w „Słowie”, tuż przed wojną, pisze o dywizji niemieckiej, która stacjonowała w Gdańsku, że „ta jedna dywizja niemiecka będzie dosłownie zniesiona, zmasakrowana w ciągu kilku godzin przez wojska polskie, które stalową obręczą stanęły nad granicami Rzeczypospolitej”. Podobne optymistyczne rokowania panowały wśród wyższych oficerów i generał Abraham nie był tu wyjątkiem. Wspomina Grot-Rowecki, że jeszcze drugiego dnia września, chociaż już po kilkudziesięciu godzinach można było się zorientować, jakie są polskie szanse, oficerowie z jego dywizji też wspominali o Berlinie. Wrześniowa katastrofa, lata niemieckiej niewoli, ćwierć wieku w Polsce Ludowej, nie zmieniły bojowego temperamentu generała Abrahama. To

może budzić podziw, a jednak pozostawia pewien niedosyt po tym wszystkim, co o Wrześniu pisano czy mówiono wcześniej. W kraju czy na emigracji. Generał, żeby nie komplikować sobie sprawy, zwała winę na „wiarołomnych sojuszników”, co w niezamierzony przez niego sposób urządziło PRL-owską propagandę chętnie przyjmującą od zasłużonych kombatantów potwierdzenie, że sojusz z Zachodem źle służył polskiej sprawie. Autor lubuje się w absurdalnych (mogę przeprosić za mocne słowo) porównaniach. Oto Berlin w 1945 roku broniony przez 200 tysięcy żołnierzy i tysiąc dział zdobywano zaledwie przez dziesięć dni, tymczasem we Wrześniu Warszawa stawiała opór przez dni dwadzieścia. A podczas kampanii francuskiej, wylicza generał, Niemcy posuwali się z szybkością przeciętnie 30 kilometrów na dobę, podczas gdy w polskiej tylko 24 kilometry. To by się nawet zgadzało, bo złe polskie drogi i bezdroża miały być, w ocenie wielu fachowców, ważnym atutem wobec niemieckiej przewagi technicznej. Mówiono zresztą, całkiem serio, według podobnego rozumowania, że niemieckie czołgi i tankietki (a bardzo prawdopodobne, że część z nich to tylko makiety) łatwo się psują i nie mogą obyć się bez benzyny. W przeciwieństwie do niezawodnych koni, które wystarczy napoić i puścić na łąkę i można na nie liczyć w każdej sytuacji. Z wypowiedzi generała Abrahama zdaje się wynikać, że przegrana potężnej Francji, a także sukcesy niemieckie w wojnie ze Związkiem Radzieckim (tu rzecz jasna generał nie mógł się rozpisywać), stanowią rodzaj usprawiedliwienia, pocieszenia, przywracają przekonanie, że we wrześniu nie było tak źle. A konkretnie upomina się generał tylko o polski karabin przeciwpancerny, w który niedostatecznie uzbrojono polską piechotę, tymczasem mógł zadać przeciwnikowi poważne straty. I nie bez słuszności tłumaczy polską przegraną faktem, że przed wojną w Niemczech trzydziestokrotnie więcej wydawano na zbrojenia. Tylko że nie wyciąga z tego jakichś ogólniejszych wniosków i nawet ex post, po 30 latach, nie chciałby za żadne skarby zostać posądzony o defetyzm. Pułkownik Marian Porwit, autor wnikliwych, fachowych „Komentarzy do kampanii wrześniowej”, wspomina jak zatrzymał niemiecki zagon pancerny 8 września na warszawskiej Ochocie i wspomnienie tego zwycięskiego boju jest powodem, że mimo całej wiedzy i rzetelności powraca u pułkownika przedwojenna pewność siebie. Oto we Wrześniu niepotrzebnie narastał „przedwczesny pesymizm oceny”. Pułkownik Walter-Janke podnosi, że „naród polski nie zdawał sobie sprawy” z niemieckiej przewagi, co przecież nie świadczy dobrze, ani o narodzie ani o jego przywódcach. Niektórzy uczestnicy ankiety walczą przeciw określeniu Kampania Wrześniowa, domagając się tutaj Pierwszej Jesiennej Kampanii 1939 roku, albo Polskiej Wojny Obronnej. Na tle tej ankiety, przeprowadzonej w cenzuralnych warunkach 1969 roku, ocena Września dokonana przez Stefana Grota-Roweckiego, dowódcy Związku Walki Zbrojnej, potem Armii Krajowej, imponuje ostrością i dojrzałością sądów. W swojej broszurze (datowanej na grudzień 1939, ale według ustaleń historyków, w rzeczywistości napisanej i wydanej kilka miesięcy później) stawia generał tytułowe pytanie: „Czy naród polski okrył się niesławą?” Retoryczne co prawda, ale widocznie powszechnie stawiane i jako takie wymagające odpowiedzi. Rowiecki zadaje także pytanie pomocnicze, no właśnie i to pytanie powraca: czy należało bić się z Hitlerem, czy należało odrzucić żądania niemieckie, jeśli się nie miało pewności „co do pomyślnych dla nas losów wojny”? Odpowiada Rowiecki, że „decyzja nieustępowania żądaniom niemieckim była słuszna i była wyrazem powszechnej woli narodu”. Dodajmy, woli ukształtowanej przez literaturę, przez wszechwładne ówczesne medium. Przecież wyraźnie przestrzegał już Mickiewicz, że „Krzyżackiego gadu nie ugłaszcz nikt, ni gościna, ni prośbą, ni dary”. Maria Konopnicka w „Rocie” wyraźnie stwierdza: „Nie będzie Niemiec pluć nam w

twarz" (to program minimum, jak żartował niezapomniany Jakub Karpiński). Młodsze pokolenie epoki międzywojennej wychowywało się na „Krzyżakach”. Równie dramatyczna, choć bezkrwawa, była walka z kolonizacją niemiecką w „Placówce”. Literatura pozytywistyczna, może i dlatego, że powstawała w zaborze rosyjskim, przesiąknięta była duchem antygermańskim. Po powstaniu listopadowym śpiewano w Niemczech Polenlieder, ale rewanż nigdy nie nastąpił i nie istnieje odpowiednik wiersza „Do przyjaciół Moskali” w wersji niemieckiej.

30. Oczywiście Rowecki nie powołuje się na literaturę, próbuje natomiast ustalić odpowiedzialność za klęskę. Decyzja przeciwstawienia się żądaniom niemieckim nastąpiła „po długim okresie akcji dyplomatycznej przedstawiającej Polskę na zewnątrz jako sojuszniczkę Niemiec. Akcja ta rozluźniła nasze sojusznicze stosunki z Francją i Anglią. Akcja ta rozbijała na Bałkanach sojusze przeciwniemieckie - Małą Ententę. Akcja ta podtrzymywała fikcję przyjaźni polsko-niemieckiej, waśniąc nas z naturalnymi sojusznikami Polski. Dyplomacja polska wewnątrz kraju sęczyła przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych nastroje niechęci do Francji i Anglii, dowodząc społeczeństwu polskiemu konieczność przyjaźni z Niemcami. W zaślepieniu dopuszczono do zniszczenia Czechosłowacji, entuzjazmując się odebraniem skrawka Śląska. W rezultacie tej polityki Polska została dyplomatycznie osłabiona na całym świecie. Tej fatalnej polityki ostatniego czterolecia nie dało się odrobić w kilkanaście tygodni przedwojennych. Osłabienie dyplomatyczne Polski - to również jedna z przyczyn naszej katastrofy”. I chyba, na szczęście, nie słyszał Rowecki co Beck miał powiedzieć, gdy zaczęła się wojna: „Zrobiłem co do mnie należało, teraz niech armia pokaże co potrafi”. Bo mógłby Grot-Rowecki, przy całej swojej dyscyplinie, stracić równowagę intelektualną. Ale kolejna sprawa łudzenia społeczeństwa mirażami zwycięstwa, gdy rzeczywistość przyniosła klęskę, jest już dla Roweckiego trudniejsza do oceny: „Zaczynając wojnę z Niemcami nie wolno nam było rozpoczynać od biadania i podkreślania naszej słabości”. Pytanie dla Roweckiego bodaj najważniejsze dotyczy owej niesławy, czy piętna hańby, za które można uważać klęskę poniesioną w trzy tygodnie przez trzydziestoparomilionowy naród. Wraca tutaj pozytywne myślenie autora: „To nie klęska, tylko przegrana. Wojna trwa nadal, bierzemy w niej udział z naszymi sprzymierzeńcami, zarówno na zachodzie, jak i w kraju”. Dyplomatycznie konstatując, że Polska nie została wsparta przez sojuszników, stwierdza Rowecki wspaniałomyślnie, że zyskali oni w ten sposób na czasie i wyraża nadzieję, że „zostanie to ocenione w obrachunku współczesnej wojny”. Słowem generał Rowecki nie szuka winy u innych, tylko u swoich. Miażdżąca jest przytoczona wyżej ocena polskiej dyplomacji. Ale i dokonane przygotowania wojskowe z perspektywy przegranej wyglądają fatalnie, a to już dotyczy ukochanej armii polskiej, w której generał służy już od ćwierć wieku. W swoich wspomnieniach zdaje sprawę ze wzruszeń i niepokoju, jaki przeżywał 6 sierpnia 1939 roku, w przededniu wojny, podczas patriotycznej manifestacji, jaką były obchody rocznicowe, wymarsz Pierwszej Kadrowej na front. Ale rozliczeniowa broszura „Czy naród polski okrył się niesławą”, napisana dla potrzeb rodzącego się ruchu oporu, społeczeństwa ogłuszonego klęską, a także dla samego autora, wolna jest od liryzmu. „Z wyjątkiem Helu i Śląska nie pobudowano żadnych fortyfikacji. To co gdzie indziej w ostatnich tygodniach zrobiono, zakrawało niemal na żarty, te prymitywne okopiki poprzedzone słabymi przegrodami z drutów kolczastych”. Podkreśla Rowecki słabość dzielnego lotnictwa i broni pancernej: w końcu sam niedługo przed wojną został dowódcą warszawskiej dywizji pancerno-motorowej w stadium organizacji i nie był w stanie sprostać zadaniu, jakie przed nim postawiono. Ale o tym można przeczytać we wspomnieniach. Nie w tekście, który ma przede wszystkim mobilizować i dawać do myślenia. Dlatego chociaż autor krytykuje, nawet piętnuje kordonowe ustawienie jednostek wzdłuż granicy, brak jednolitego, centralnego dowodzenia już po rozpoczęciu walki, ogólny chaos i przypadki załamania dowódców, musi ze względów psychologicznych i pedagogicznych w pewnym momencie zaprzeczyć sam sobie twierdzeniem, że „bić się umieliśmy”. Co do załamań, nie wymienia oczywiście nazwisk i w tym przejawia się lojalność generała wobec niektórych kolegów, a odpowiedzialnością za błędy mają się w

przyszłości zająć odpowiednie trybunały. I skoro już tyle zostało powiedziane: „Nie ma powodów do biadania i narzekania”. I sam sobie odpowiada generał: „Wrzesień nie okrył niestawą narodu polskiego ani jego wojska”. I zapewne sam w to wierzy, chociaż przedstawia prawdziwą narodową apokalipsę: „Ludzi ogarnął jakby szal. Uciekali na ślepo przed siebie, robiąc co mogli najgorszego. Rzucali bowiem cały swój dobytek, nieraz pracę całego życia, na pastwę losu. Uciekali, bo tam gdzie byli padały bomby czy granaty, tak jakby tam dokąd spieszyli nie było tego samego. Uciekali na tułaczkę i poniewierkę stokroć gorszą, niż najcięższy pobyt pod okupantem. Wraz z ludnością cywilną, nie kierowaną, pozostawioną sobie, uciekały równocześnie władze administracyjne i władze bezpieczeństwa. Uciekali starostowie z całym personelem, burmistrzowie, władze więzienne, policja. Uciekały nawet straże pożarne, pozostawiając palące się osiedla. Uciekali lekarze, zamiast zostać przy szpitalach i rannych. Ogarnął wszystkich szal ucieczki i zapanował na całym obszarze działań wojennych oraz na tyłach wojsk chaos nieprawdopodobny”. W poszukiwaniu przyczyn takiej katastrofy pojawia się u autora ton obywatelskiego oskarżenia: „W ostatnich latach bawiła się nasza administracja i w budowanie «Sławojów», i w malowanie parkanów i dziurawienie - robienie przewiewnych murów (ostatni wyczyn...), ale nikt nie przepracował należycie planów ewakuacji na wypadek wojny”. Zrozumiałe i logiczne, że skoro to główna teza, „wojna nie jest skończona”, generał broni jednak wojska, na którego bitność źle wpłynęła owa masowa panika, dezercerzy, dywersanci i „korona bezmyślnej ucieczki (...) ewakuacja z Warszawy władz państwowych”. Wobec tych oskarżeń, sformułowanych przez człowieka, który walczył, a przez kilka następnych lat będzie kierował państwem podziemnym, czyli ma do oskarżeń prawo moralne, jakże nieuczciwe wydają się kreślone ze złośliwą satysfakcją czarne opisy Września, w jakich lubowała się powojenna, polskoludowa propaganda. Obraz klęski rysowany przez Roweckiego wygląda znacznie gorzej, niż świadectwa tych poruczników rezerwy i podchorążych, którzy pisali tylko o swoich doświadczeniach, unikając ogólnych ocen. Pisze Rowecki o „dzikiej ewakuacji”: „Každy jechał jak chciał i zabierał co chciał. Ważne, tajne akta państwowe pozostawiono, niepotrzebne osoby, rzeczy i przedmioty pozabierano. Tysiące państwowych samochodów, naładowanych prywatnymi rzeczami, rodzinami, nawet z psami i kanarkami opuszczało Warszawę - a akta lub przedmioty pierwszorzędnej wagi, jeśli chodziło o dalsze prowadzenie, pozostawiono w opuszczonych biurach lub wyrzucono wprost na ulicę”. Straszne, niestety prawdziwe, słowa. Tylko pamiętajmy, że co wolno Roweckiemu, tego nie wolno było Arskiemu czy Jaszuskiemu. Powołuje się Rowecki na tysiące mogił żołnierskich, w tym kilku generałów, którzy polegli. Tyle, że z punktu widzenia wojennej pragmatyki, nie legendy, na jedno wychodzi, czy dowódca zginie bohaterską śmiercią, czy w tchórzliwym załamaniu porzuci swoją jednostkę, bo w obu wypadkach walka przestaje być kierowana, dowodzona. Tak się stało, że wyżsi oficerowie, którzy wyszli ze szkoły legionów, załamywali się albo ginęli, a rutyniarze, którzy służyli jeszcze w armiach zaborców, działali według pewnych nawyków nawet w krytycznych chwilach. Można powiedzieć, że Grot jest niekonsekwentny kiedy pisze, że „z decyzją podjęcia walki z potęgą szalejącego germanizmu łączy się odpowiedzialność pewnych kół za usypianie czujności narodowej i obiecywanie zwycięstwa, w przeciwieństwie do tego stanu faktycznego, jaki nam wrzesień przyniósł. Budzenie pewności siebie i wiary we własne siły były bezwzględnie konieczne, jeśli chcieliśmy zdobyć się na godną zarówno naszej przeszłości jak i owocną dla przyszłych pokoleń męską decyzję walki, my, słabsi, z mocniejszymi o całe niebo od nas Niemcami. Czyż można było wzywać Naród do walki biadając nad

jego słabością czy brakami w przygotowaniu do wojny." Jest to prawie usprawiedliwienie oficjalnej propagandy, która czyniła z Becka tajemniczego geniusza dyplomacji, z Rydza-Śmigłego niezwycięzonego wodza godnego następcy Piłsudskiego, a z całej Polski faktyczne mocarstwo. Nawet po klęsce wrześniowej tłumaczono tu i ówdzie, że trzeba było kłamać (nie używając oczywiście tego brzydkiego słowa) o naszej potędze (wierząc w nią lub nie, to jakby drugorzędne), bo inaczej Polska by się poddała i stracilibyśmy wszelką nadzieję. To znaczy sojuszników, którzy nie chcieliby się przecież wiązać z państwem nie dość, że słabym, to jeszcze w związku z tym skłonny do kapitulacji. Rowecki wciąż pamięta, że polskie „samobiczowanie” to „woda na młyn niemieckiej propagandy”, że „pod butem najeźdźcy nie czas na porachunki”. Stąd ciągle zastrzeżenia, pokrzepiające żołnierskie słowa. Ale nie ucieka Rowecki w mistycyzm i mesjanizm jak generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz, dowódca pierwszej organizacji konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski, z której powstał Związek Walki Zbrojnej dowodzony przez pułkownika Stefana Roweckiego. Jak ustalił profesor Tomasz Szarota, Tokarzewski-Karaszewicz i Rowecki przebywali razem na przełomie 1939 i 1940 roku u krewnych Roweckiego w Olszynie pod Warszawą. I zapewne dyskutowali na temat oceny Września i perspektyw na dalszą wojenną przyszłość. Generał Tokarzewski napisał najprawdopodobniej w tym samym czasie i w tym samym miejscu co Rowecki broszurę „Co na dzisiaj?”. Zwraca tam uwagę na współodpowiedzialność całego społeczeństwa za klęskę. Winni są nie tylko kierujący ale i kierowani, ci którzy dali sobą kierować, bo widocznie nie mieli dość przekonania i siły, aby było inaczej. „Każdy naród ma przywódców na miarę własnej przeszłości”, czytamy w „Co na dzisiaj?”. Również w swoim imieniu, bo w pierwszej osobie liczby mnogiej zapowiada generał Tokarzewski, że trzeba będzie ponieść konsekwencje. Niestety, tym trafnie moralnie uwagom towarzyszą myśli mocarstwowe, z powoływaniem się na „Króla-Ducha”. Ma być Polska mesjańskim przewodnikiem zachodniej Słowiańszczyzny, przy czym obszar tej dominacji ustala Tokarzewski-Karaszewicz bardzo ambitnie: od Saksonii, Odry, Sudetów po Dniepr i Berezynę. I oczywiście od morza do morza. Ta ideologia czerpała z romantycznej poezji, ale jej polityczne konsekwencje były niebezpieczne, bo nierealne. Polska międzywojenna mogła jedynie udawać mocarstwo, więc często grzeszyła przeciwko swojej jagiellońskiej tradycji.

31. Wrzesień nie posiada prawdziwej wojennej legendy. Obrona wieży spadochronowej w Katowicach, jak się okazało, nie miała miejsca. Mokra, Wizna, Borowa Góra pod Piotrkowem, Węgierska Górka w Beskidach Śląskich to nazwy miejscowości, w których przeważającym siłom niemieckim stawiono przez kilkadziesiąt godzin zacięty, lokalny opór, ale trzeba było się wycofać, bo albo polskie pozycje zostały przełamane, zdobyte, albo Niemcy obeszl je bokiem. Na mnie szczególne wrażenie sprawia pamięć bitwy w Puszczy Kampinoskiej, stoczonej przez oddziały rozbite nad Bzurą, idące na odsiecz Warszawie czy szukające w niej schronienia. Ich nazwy można wyczytać na cmentarzu wojskowym w Laskach. 50 pułk piechoty z Inowrocławia, 61 i 62 pułk piechoty, 15 pułk artylerii lekkiej z Bydgoszczy, z 15 dywizji piechoty. Z 21 dywizji piechoty 29 pułk Strzelców Kaniowskich, 25 pułk artylerii lekkiej, 59 pułk piechoty z Ostrowia Wielkopolskiego, 60 pułk piechoty z Krotoszyna. Wielkopolska Brygada Kawalerii, czyli 7 pułk strzelców konnych z Bieduska, 15 pułk ułanów, 7 dywizjon artylerii konnej z Poznania, 17 pułk piechoty z Leszna Wielkopolskiego. I wreszcie Podolska Brygada Kawalerii. To znaczy: 6 pułk ułanów ze Stanisławowa, 9 pułk ułanów z Trembowli, 14 pułk ułanów i 6 dywizjon artylerii konnej ze Lwowa. Niektóre z tych oddziałów, a właściwie ich strzępy, atakowały pozycje niemieckie na terenie Zakładu dla Ociemniałych w Laskach. Zaciekła bitwa toczyła się ze zmiennym szczęściem przez kilkadziesiąt godzin. Ostatecznie polskie natarcie zostało odparte. Zostały po tych wydarzeniach relacje i legendy. Mówiono, że zjawił się w Laskach Hitler, bo nagle kazano wszystkim zejść do piwnicy. Albo, że podczas okupacji Zakład nie był przez Niemców szczególnie represjonowany, bo rzekomo Hitler miał jakieś kłopoty okulistyczne i stąd jego zrozumienie dla niewidomych. Opowiadano też, że Niemcy wrzucili do ognia rannego polskiego żołnierza i że niemieccy sanitariusze z białymi opaskami dobijali rannych. Prawdą natomiast jest, że podczas walk działał w Zakładzie szpitalik prowadzony przez siostry zakonne i przyjmował zarówno Polaków jak Niemców. Siostra Katarzyna chodziła po lesie wołając: „Ranni, ranni!” A żeby potwierdzić słowa Bolesława Prusa z „Lalki”, że „Niemcy też są ludźmi”, przypomnijmy udokumentowaną prawdę, że wokół Zakładu trafiały się groby polskich żołnierzy, których pogrzebali ich wrogowie. I na krzyżach umieszczali po niemiecku napisy: „Tu leżą polscy bohaterowie”. Tylko Westerplatte pozostanie wielkim międzynarodowym symbolem, chociaż ostatnio naszych panów filmowców zainteresowała głównie sprawa homoseksualizmu majora Sucharskiego. Jest oczywiście dramatyczna, zwycięska i przegrana bitwa nad Bzurą, desperackie walki na Lubelszczyźnie i Podkarpaciu, beznadziejne próby oporu wobec wkraczającej Armii Czerwonej. Gwałtowna klęska wrześniowa dała wszystkim do myślenia. Nie sposób było pogodzić się z szyderczymi określeniami „Saisonstaat”, czy „domek z kart” wobec przegranej Polski. Przez lata okupacji w kraju i na obczyźnie pisano i dyskutowano, jaka ma być ta przyszła, lepsza Polska. To pokolenie wykształcone i wychowane w II Rzeczypospolitej (oświata w przeciwieństwie do polityki i wojska stała wysoko) w tragicznym stopniu wyginęło albo rozproszyło się po świecie. Ale jego dorobek intelektualny jest ciągle do wykorzystania na lekcji historii, którą odrabiamy. Zaczęło się we wrześniu... A kiedy się skończyło? No, w czerwcu 1989 roku. Pół wieku: wojna, okupacja, niewola i półniewola, z której wybiliśmy się na niepodległość: „my naród.” Przy pomyślnym zbiegu okoliczności. Z tym, że okolicznościom trzeba było dopomóc. W samą porę. Byle nie za wcześnie, bo mogłoby się źle skończyć. I nie za późno, to oczywiste. Więc udało się? Zbyt łatwo? A co, za mało krwi? Jeszcze, znowu za mało? Oczywiście są ludzie, którym własne życie, jak również życie innych, wydaje się jakoś mało interesujące. Sięgają do

przeszłości po mity, z których wynika, że należy im się więcej. Również w imieniu poprzednich pokoleń. W epatowaniu i epatowaniu się heroiczną przeszłością, do pewnego stopnia sympatyczne bo naiwne bywa przekonanie, że byliśmy z natury rzeczy najlepsi i najdzielniejsi. To może nawet służyć pokrzepieniu serc, byle nie było uczuciem zastępczym. Toksyczne jest rozsmakowywanie się w martyrologii jako polskim przeznaczeniu, w niezaspokojonej krzywdzie. W tym, że wszyscy chcą nas wykorzystać i porzucić. Bo kto chciałby żyć w kraju, gdzie albo się ginie, albo jest się oszukiwanym i wciąż podejrzewa się, że tak będzie. To również ten podszyty agresją turpizm polityczny sprawia, że ucieczka, emigracja jest jedną z głównych odmian polskiego losu. Wciąż za mało cieszymy się wolnością szczęśliwie odzyskaną, i nadal, po dwudziestu latach, niezagrożoną. Zapominając, że jak przestrzegał Marek Holzman z Borysławia: „Pan Bóg rzadko się uśmiecha”.

Podziękowania za inspirujące rozmowy o Wrześniu zechcą przyjąć:

Andrzej Bonarski Wiktor Dłuski

Józef Nyka Jan Pomian

Tadeusz Rolkę Zbigniew Skoczylas

i prof. Tomasz Szarota

ISBN 978-83-7386-357-6
Wydanie I Warszawa 2009